# Jednota

7-8
1965

CENA 8 ZŁ
NUMER PODWÓJNY

W NUMERZE M. IN.

NOWE I STARE
JESZCZE O KONFERENCJI EUROPEJSKIEGO ZARZĄDU KOŚCIOŁÓW REFORMOWANYCH
WYWIAD Z KS. PIERRE BOURGUET W „REFORME"
150 LAT MISJI BAZYLEJSKIEJ
HIROSZIMA... I CO DALEJ?
SANDAŁY
SZUKAMY LUDZI
PRÓBA CHRZEŚCIJAŃSKIEJ IRENOLOGII. DOŚWIADCZENIA PRASKIE
550 LAT
PRAWDA PRZY ŁOŻU CHOREGO
W OBRONIE POLSKIEJ KULTURY
MARIA DĄBROWSKA
WŚRÓD KSIĄŻEK
CO PISZĄ INNI
MŁODA JEDNOTA

*Medal ku czci Jana Husa, wybity w rocznicę jego śmierci*

PISMO RELIGIJNO - SPOŁECZNE

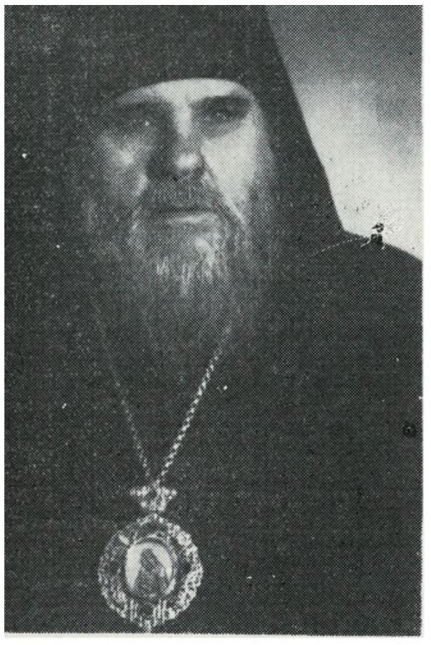

## NOWY METROPOLITA PRAWOSŁAWNY

**Sobór biskupów Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego dokonał w dniu 26 maja br. wyboru nowego metropolity Warszawy i całej Polski w osobie ks. arcyb. Stefana Rudyka.**

**Metropolita Stefan urodził się 27 grudnia 1891 w miejscowości Majdan Lipowski, pow. Przemyśl, ukończył gimnazjum we Lwowie, a po studiach teologicznych został wyświęcony na księdza w roku 1915. W roku 1922 został kapelanem Wojsk Polskich, i sprawował szereg kierowniczych funkcji w duszpasterstwie wojskowym kolejno w Toruniu, Katowicach i Krakowie. We wrześniu 1939 wycofał się wraz z armią do Rumunii, gdzie w lutym 1941 został wzięty do niewoli przez Niemców i osadzony w oflagu Dorsten w Westfalii. Po śmierci żony powrócił do kraju i objął probostwo parafii św. Aleksandra w Łodzi. Pełnił tę funkcję do chwili, kiedy w 1952 roku został powołany przez sobór biskupów na stanowisko biskupa-ordynariusza diecezji wrocławsko-szczecińskiej. W 1961 roku został ordynariuszem diecezji białostocko-gdańskiej.**

**Uroczystość intronizacji nowego metropolity odbyła się w katedrze warszawskiej w dniu 18 lipca br. w asyście biskupów krajowych i zagranicznych z Konstantynopola, Moskwy, Rumunii, Bułgarii, Czechosłowacji i in.**

## HABILITACJA KS. DR WITOLDA BENEDYKTOWICZA

**W dniu 24 czerwca br. odbyła się w sali parafii ewangelicko-reformowanej w Warszawie habilitacja ks. dr Witolda Benedyktowicza. Przedmiotem rozprawy habilitacyjnej była praca pt. „Próba chrześcijańskiej irenologii. Doświadczenia praskie", której streszczenie drukujemy wewnątrz numeru. Przewód habilitacyjny otworzył rektor Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, ks. prof. dr Wiktor Niemczyk przy współudziale prorektora, ks. prof. dr Karola Wolframa, w obecności recenzentów, którymi byli: prof. dr Henryk Świątkowski i prof. dr Jerzy Śliziński z Uniwersytetu Warszawskiego.**

**Przebieg przewodu mieli możność śledzić wraz z pracownikami naukowymi ChAT, także liczni goście, znajomi i przyjaciele habilitanta, który dał się poznać w swej dotychczasowej działalności z wielu wartościowych prac pisarskich, obejmujących szeroki wachlarz zagadnień życia i kultury chrześcijańskiej w naszym kraju. Rozprawa habilitacyjna stanowi poważny wkład autora w pogłębienie teologicznych aspektów chrześcijańskiego ruchu pokojowego, w którym ks. dr W. Benedyktowicz od szeregu lat bierze czynny udział. Redakcja „Jednoty", której ks. dr Benedyktowicz jest od samego początku cenionym współpracownikiem, składa na tym miejscu swemu Przyjacielowi najlepsze gratulacje i życzenia dalszych sukcesów w pracy naukowej.**

## W KILKU WIERSZACH

*KONSTANCJA. „My niżej podpisani, nie możemy już dłużej znosić istniejącego stanu rzeczy, aby pamięć pełnego samozaparcia życia i chrześcijańskiej śmierci czeskiego reformatora Jana Husa była nadal niesłusznie obciążana skazującym wyrokiem wydanym przez sobór w Konstancji". Słowa te zawiera petycja, która przedłożona została katolickim mieszkańcom Konstancji do podpisu. Jej autorem jest starszy radca archiwalny w Konstancji, dr Otto Feger.*

*Sygnatariusze listu domagają się rewizji sądowej, podczas której „proces przeciwko Janowi Husowi zostałby poddany badaniu kompetentnych władz kościelnych. Wynikiem winno być uznanie Husa za niewinnego, ze względu na jego wysoce moralne życie i nieustraszoną postawę w chwili śmierci, tak aby w przyszłości stać się on mógł przykładem służącym wszystkim chrześcijanom, a także katolikom."*

*

*SYDNEY. Na początku czerwca br. siedmioosobowa grupa ekumeniczna z Australii udała się z czterotygodniową wizytą do Kościoła i misji w Papua, na Nowej Gwinei. W skład delegacji weszli kierownicy misyjni z Kościołów: anglikańskiego, luterańskiego, metodystycznego, kongregacjonalistycznego, baptystycznego i innych. Jak oświadczył pastor F. G. Engel, sekretarz oddziału misyjnego Australijskiej Rady Kościołów, wyjazd delegacji nastąpił w wyniku zaproszenia wystosowanego przez Kościoły i misje papuaskie. Pastor Engel, który towarzyszy delegacji, dodał ponadto, że podróż ta powinna dostarczyć informacji na temat działalności Kościołów i towarzystw misyjnych, które należą do Australijskiej Rady Kościołów, a które dotąd współpracują tylko z jakimś jednym Kościołem lub towarzystwem misyjnym w Nowej Gwinei.*

*

*GENEWA. Pastor H. A. Hamilton został mianowany zastępcą (asystentem) sekretarza generalnego Światowej Rady Kościołów. Urząd ten obejmie on — jak oświadczył sekretarz generalny dr Visser 't Hooft w Genewie — natychmiast; funkcję tę pełnił dotychczas w ŚRK — dr Roland W. Scott.*

*

*W Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Chylicach koło Warszawy odbyły się wybory rektora. Nowym rektorem został ks. dr Woldemar Gastpary, profesor tej uczelni, prezes Synodu Kościoła ewangelicko-augsburskiego i senior diecezji warszawsko-łódzkiej. Ze stanowiska tego ustąpił dotychczasowy długoletni rektor, ks. prof. Wiktor Niemczyk.*

Jedność
MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY
POŚWIĘCONY SPRAWOM EWANGELICYZMU POLSKIEGO I EKUMENII

ROK VIII (XXII) Nr 7—8

Warszawa lipiec — sierpień 1965

*Ks. PIERRE BOURGUET*

# *NOWE i STARE*

„Każdy uczony w Piśmie, przysposobiony do Królestwa Niebieskiego podobny jest gospodarzowi, który dobywa ze skarbca swego nowe i stare rzeczy". Mt. 13:52

## *Drodzy Bracia i Siostry w Jezusie Chrystusie!*

*Pozwólcie, że przede wszystkim serdecznie Was pozdrowię w imieniu Europejskiego Komitetu Światowego Aliansu Reformowanego. Z przyjemnością przyjęliśmy zaproszenie, które otrzymaliśmy. Naprawdę z wielką radością przyjechaliśmy Was odwiedzić i pośród Was pracować. Wiemy o tym, że pod względem liczebności jesteście Kościołem małym. To nie przeszkadza Wam jednak mieć wielu przyjaciół. A zresztą... Czy Betlejem nie było jednym z najmniejszych miasteczek Judy? A jednak nie było najmniejsze!*

*Poczytuję sobie za przywilej, że mogę dziś do Was przemówić. Przypomina mi się pierwszy rozdział listu św. Pawła do Rzymian, gdzie apostoł stwierdza, że dotąd miał przeszkody, które nie pozwoliły mu odwiedzić chrześcijan w tym wielkim mieście i dodaje: „Pragnę was widzieć, abym wam mógł udzielić jakiegoś daru duchowego ku utwierdzeniu waszemu, to jest, abym się wśród was razem ucieszył przez wspólną wiarę i waszą, i moją". Tak więc, zapewniam Was, takie właśnie są nasze życzenia, taka jest modlitwa, która przepełnia nasze serca w czasie tego nabożeństwa.*

*Otóż ta nasza wspólna wiara wypływa ze Słowa Bożego w Piśmie św. Chcemy być wierni Biblii nie jako martwej księdze, nie papierowemu bogu, lecz wierni poselstwu Bożemu, przez które żywy Chrystus mówi do nas, poucza nas, prowadzi i zbawia, podobnie zresztą, jak pragnie to czynić względem wszystkich ludzi.*

*Większość z nas już od dzieciństwa była wychowywana w bezpośredniej znajomości prawdy chrześcijańskiej. Możemy, a nawet powinniśmy powiedzieć, że jesteśmy jak owi uczeni w piśmie, o których Ewangelia mówi, że są „przysposobieni do Królestwa Bożego". Wydaje mi się więc, że o wiele bardziej do nas niż do innych odnosi się ten werset biblijny, gdzie Jezus przyrównuje nas do ojców rodziny, gospodarzy, którzy powinni dobywać ze skarbca swego nowe i stare rzeczy. Nie wiem, w jaki sposób polski przekład Biblii tłumaczy greckie słowo „t h e s a u r o s", które zwykle (jak na przykład w wersji francuskiej) bywa tłumaczone jako skarbiec. Specjaliści jednak uważają, że słowo to może również oznaczać spiżarnię, magazyn zapasów, miejsce, gdzie się przechowuje pożywienie. Zresztą, „ojciec rodziny" oznacza również „pana domu", lub też — jak powiedział Kalwin — „gospodarza". Przyznam się, że uważam to porównanie za wiele prostsze i jaśniejsze. Jezus Chrystus nigdy bowiem nie traktował skarbu jako bogactwa, gdy dla wy-*

*jaśnienia tajemnicy Królestwa Bożego często posługiwał się przykładami wziętymi z codziennego życia. Sądzę więc, że Pan wzywa nas do czerpania z zapasów, aby odżywiać siebie i innych (przede wszystkim duchowo) i dobywać z nich rzeczy nowe i rzeczy stare.*

*Niektórzy widzą tu aluzję do Starego Testamentu i do Nowego Testamentu. Tak, oczywiście! Jezus nie przyszedł po to, aby zniszczyć stare Przymierze dla nowego. Przeciwnie, wiemy o tym, że przyszedł je „wypełnić". Skoro przyjęliśmy i powtórzyliśmy to sformułowanie — nie wyczerpując jednak naszego tekstu — dobrze jest pójść jeszcze dalej i zauważyć, że Chrystus na pierwszym planie przed rzeczami starymi umieszcza rzeczy nowe.*

*To właśnie jest bardzo pouczające! Istotnie, z religijnego punktu widzenia (jak i ze społecznego punktu widzenia), człowiek zwykle chętniej przyjmuje to, co uzna i do czego przywykł od dawna, niż to, co musiałby rozumieć i podjąć jako nowe. Obyczaje, tradycja, rytuały, to, z czym człowiek jest już obyty, co jest dla niego niemal naturalne (jako że przyzwyczajenie jest drugą naturą), to, co się lubi niemal odruchowo, bez fatygi, bez trudu (tak się dzieje, gdy się myśli jedynie o sobie), to, co weszło do historii i wciąga nas — krótko, to wszystko co oznacza spokój, to właśnie przekładamy zazwyczaj nad coś innego. Nie mam bynajmniej zamiaru odbierać wartości tym rzeczom, do których przywykliśmy i wszystkie je potępiać bez sprawdzenia, tylko dla tej przyczyny, że należą do przeszłości! Chodzi tylko o to, że Ewangelia stawia je na drugim miejscu, jako swego rodzaju ucieczkę, czy pociechę, albo swego rodzaju rekompensatę — na pierwszym miejscu stawia zaś „rzeczy nowe", to znaczy inicjatywę, eksperymenty, dążenie naprzód.*

*Oczywiście wiem równie dobrze, jak ktokolwiek inny, że to co nowe, nie musi oznaczać, że jest dobre, gwarantowane, może być nieznośne, a nawet śmiertelne! Muszę też wyraźnie stwierdzić, że można popełnić fatalny błąd, jeżeli pod pretekstem inspiracji, czy inowacji ktoś próbowałby postawić Ducha świętego w sprzeczności z nim samym! Mamy często do czynienia z modą, adaptacją, „wyprzedzaniem", z ryzykiem, które jest godne potępienia nie mniejszego, niż to, na które zasługuje kierowca nie stosujący się do zasad ruchu drogowego.*

*Mogę Wam powiedzieć, że nasz Zarząd Europejski zebrał się w Warszawie dla przygotowania, oprócz innych spraw, materiału do zgromadzenia Kościołów reformowanych, przewidzianego na rok 1967, którego tematem ma być „Przebudzenie i odnowa". Jednakże mając przed sobą ten słuszny cel, będziemy musieli się strzec, aby nie pominąć tego, co w wierze chrześcijańskiej, w chrześcijańskim życiu,*

**Kochany Ojcze w Jezusie Chrystusie, Twoim Synu a naszym Bracie i Panu! Ty zgromadziłeś nas na tym miejscu. Bądź więc z nami teraz i towarzysz każdemu z nas tam, dokąd uda się w drodze powrotnej. Nie pozwól abyśmy byli sami, abyśmy pogrążali się aż do zupełnego zatracenia. Ale przede wszystkim nie pozwól nikomu z nas zapomnieć o Tobie, nie pozwól, byśmy przestali Cię wspominać! Oświeć, pociesz i wzmocnij bliskich naszych — czy są blisko, czy daleko — a także naszych przyjaciół i nieprzyjaciół.**

**Przed Tobą chcemy złożyć nasze troski, te znane i te nie znane. Potrzeby i troski wszystkich ludzi, potrzeby tego Zboru Chrystusowego i wielu innych we wszystkich krajach, potrzeby i troski tych, którzy zabierają głos w odpowiedzialnych sprawach, którzy obradują, sprawują rządy i wydają decyzje na Wschodzie i na Zachodzie, potrzeby i troski wszystkich ludzi poniżonych i uciśnionych, biednych, chorych, starych, wątpiących i żyjących w niepokoju; składamy przed Tobą troski całego świata, który tęskni do prawa, wolności i pokoju. Daj ludzkości poznać, że wszystko znajduje się w rękach Twojej wszechmocnej łaski, a ta ostatecznie uczyni koniec wszelkiej nieprawości i biedzie, i stworzy nowe niebo i nową ziemię, w których sprawiedliwość mieszkać będzie. Bądź pochwalony teraz i na wieki Ojcze, Synu i Duchu Święty, który byłeś na początku, jesteś i który będziesz. Amen.**

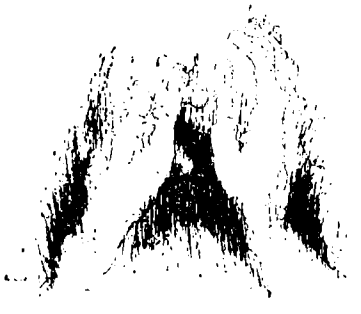

**KAROL BARTH**

**Ks. Pierre Bourguet na kazalnicy w kościele warszawskim**

*w chrześcijańskiej nadziei pozostaje nietykalne i święte. Jednakże ostrożności i czujności musi towarzyszyć czujność dalekosiężna, skoro „rzeczy nowe" stanowią dla poszczególnego chrześcijanina i dla Kościoła chrześcijańskiego jako całości, cel numer 1.*

*Co należy przez to rozumieć?*

*W kilku słowach: to, w czym wyraża się aktywne życie wiernych, tak pojedyncze, jak zbiorowe, życie mające na celu chwałę Boga i postęp Jego Królestwa. Troska o czystość, doskonałość, uświęcenie, zamiast zadowolenia z siebie i duchowego kwietyzmu. Troska o postęp moralny zamiast zbyt wygodnej formułki: pozostanę taki, jaki jestem... (jak gdyby Ewangelia nie mówiła o nowym narodzeniu!). Otóż odnoszę wrażenie, że wielu ludziom, surowym, zgorzkniałym krytykom chrystianizmu naszych dni, brak głębokiego pragnienia odnowy ich własnego życia i ich własnego postępowania. Tymczasem to właśnie jest pierwszym warunkiem życia poświęconego służbie bez zarzutu.*

*Następnie, zastanówmy się nad nią z troską o triumf prawdy i jednocześnie o dobrodziejstwo prawdy z całym szacunkiem dla miłości. Ileż parafii, ileż Kościołów wyobraża sobie, że rzeczą najważniejszą dla nich i dla czci Boga jest zachowywanie tego, co było. I nic więcej! Ich dążenie do zachowania tego, co było, ma swą wartość, lecz pokojowy podbój ma jeszcze większe znaczenie, zwłaszcza chyba dla tych najsłabszych. Przez podbój rozumiem tego rodzaju świadectwo, które przez swe zalety i swą jasność, przez swą odwagę i przez swą bezinteresowność, musi poruszyć najbardziej nieczułych, świadectwo, które tym co są bez wiary i bez nadziei daje chęć znalezienia ich w Chrystusie dotąd nieznanym.*

*Ewangeliczne porównanie z gospodarzem, który dobywa ze swego magazynu rzeczy nowe i stare, zawiera ostatecznie wezwanie Boga, abyśmy przy Jego pomocy realizowali harmonijną pobożność chrześcijańską, jednoczącą w sobie śmiałość i mądrość wiary. Nie pozwólmy nikomu mniemać, że przyłożywszy dłoń do pługa z żalem oglądamy się wstecz! Nie! Rola znajduje się prosto przed nami, nawet choćby ziemia pługiem dotknięta nie poruszyła się.*

*Musimy o tym wiedzieć: człowiek dnia dzisiejszego i to o wiele bardziej niż w jakiejkolwiek innej epoce, jest samotny, choć tyle mówi o masach, o tłumach. Sens nowego polega na przełamywaniu samotności, którą tak określił jeden pisarz, który nie przypuszczał, że jego słowa będą miały taki proroczy sens: „Widzę tłum niezliczony ludzi podobnych do siebie i równych sobie, którzy nieustannie zwracają się ku sobie samym, aby sprawiać sobie drobne i wulgarne przyjemności, które wypełniają ich dusze" (Tocqueville). O, na litość nieba, dawajmy im coś innego, szlachetniejszego, słuszniejszego, większego!*

*A teraz kończąc, chcę wspomnieć, że spotkaliśmy się dzisiaj, w dniu 9 maja 1965 roku, w dniu dwudziestej rocznicy zakończenia straszliwego koszmaru. Trzeba by nic nie ucierpieć w czasie wojny, aby zapomnieć o tej dacie pamiętnej dla wszystkich, co ją przetrwali i opłakują tyle ofiar! Pokój między ludźmi należy do tych „rzeczy nowych", które uczniowie Chrystusa powinni pojąć, popierać i do nich wzywać, nawet jeżeli wspólnie z apostołem Pawłem żywią przekonanie, że rzeczy widzialne są doczesne, a rzeczy niewidzialne wieczne!*

*Tłum. ks. B. TRANDA*

# Jeszcze o Konferencji Europejskiego

W dn ach od 9—12 maja 1965 r. bradował w Warszawie, na zaproszenie Konsystorza Kościoła Ewangelicko-Reformowego w PRL, Europejski Zarząd Kościołów Reformowych. Konferencja ta, która z oczywistych względów stała się wydarzeniem w życiu naszego Kościoła, zbiegła się z radosnym dla wszystkich ludzi naszego kraju dniem 9 maja — 20 rocznicą zakończenia II wojny światowej.

Przewodniczący Zarządu, prezydent Kościoła Reformowanego Francji, ks. Pierre Bourguet, w wywiadzie udzielonym dla „Jednoty", wyraźnie podkreślił, że nie uważa tego faktu za zbieg okoliczności, nadaje mu raczej znaczenie symbolu. Nic więc dziwnego, że oba wydarzenia — Konferencja Kościołów Reformowanych Europy, kontynentu, który najwięcej mógłby powiedzieć o stratach sprzed 20 lat, i rocznica zakończenia wojny, obchodzona właśnie w Warszawie, mieście-symbolu, — były ze sobą splecione przez cały czas trwania konferencji.

A teraz kilka uwag formalnych. Europejski Zarząd Kościołów Reformowanych stanowi jedną z komórek pracy Światowego Aliansu Kościołów Reformowanych, który skupia ponad 50 milionów wyznawców. Powołany został w celu sprawniejszego kierowania pracą Kościołów, dla lepszej orientacji w działalności Kościołów Europy i wreszcie dla lepszej pracy dla tychże Kościołów. Warszawskie obrady Zarządu dotyczyły zagadnień organizacyjnych Aliansu, przygotowań do najbliższej Europejskiej Konferencji Kościołów Reformowanych, która odbędzie się w Torre Pellice koło Turynu, oraz zagadnień ekumenicznych. Na czele Zarządu stoi, jak już wyżej wspomniano, ks. Pierre Bourguet, który podczas ostatniego Synodu Kościoła Reformowanego w Nantes (pierwsze dni maja br.) ponownie wybrany został prezydentem tego Kościoła. Sekretarzem Zarządu jest, znany dobrze w naszym kraju, ks. dr Marcel Pradervand z Genewy; funkcje dwóch wiceprezydentów spoczywają w rękach ks. Tibora Barthy, biskupa Kościoła na Węgrzech i członka Rady Państwa oraz ks. dra Karla Halaskiego z NRF. W skład Zarządu wchodzą, poza w/w, następujące osoby, przedstawiciele poszczególnych Kościołów Europy: M. G. Lombard z Genewy, ks. bp Istvan Csete z Jugosławii, prof. dr Zofia Lejmbach z Polski, p. Mary Lusk ze Szkocji, ks. A. L. Macarthur z Anglii, ks. Arnold Mobbs z Genewy, ks. W. Nijenhuis z Holandii, ks. Albert Ribet z Włoch. Wszyscy oni przyjęli zaproszenie Konsystorza polskiego i po szybkim i sprawnym przyznaniu im wiz wjazdowych, już od 6 maja poczęli przybywać do Warszawy, serdecznie witani na lotniskach i dworcach przez duchownych i świeckich przedstawicieli naszego Kościoła.

Jednym z pierwszych, który przybył do Warszawy był przewodniczący konferencji, ks. P. Bourguet. Oprócz w/w członków Zarządu, z zaproszenia Konsystorza skorzystali także: ks. Imre Varga, biskup Kościoła reformowanego w Słowacji i wiceprezydent Światowego Aliansu, ks. Buthi — biskup Kościoła w Rumunii, oraz ks. Rogler, superintendent Kościoła reformowanego w Austrii, a także prof. Bronkhorst — przewodniczący Komisji Teologii i ks. Terence Tice — sekretarz teologiczny Aliansu. Niektórzy goście przybyli wraz z małżonkami. Z pań, które brały udział w posiedzeniu Zarządu wymienić należy: Paulette Piguet z Genewy i p. Shearer z Anglii.

W dniu 9 maja, o godz. 10, w kościele przy ul. Świerczewskiego 74 odbyło się uroczyste nabożeństwo inaugurujące konferencję. Bezpośrednio po liturgii wstępnej, odprawionej przez ks. Zdzisława Trandę, kazanie okolicznościowe wygłosił ks. superintendent Jan Niewieczerzał, który w imieniu Władz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w Polsce powitał serdecznie przybyłych gości. Kazanie poświęcone zostało aktualnym problemom chwili: konferencji Zarządu i minionemu 20-leciu. Kiedy punkt o godz. 11 z ambony padło słowo „Amen", rozległ się głos syren fabrycznych, do którego włączył się potężny dźwięk dzwonów kościelnych. Wszyscy uczestnicy nabożeństwa powstawszy, w ciszy i skupieniu, ze wzruszeniem czcili pamięć tych, którzy życie swe oddali za wolność. Pewno nie było w kościele nikogo, kto w tej chwili nie wrócił myślą do swych utraconych najbliższych: braci, sióstr, ojców, synów i córek, przez 20 lat opłakiwanych lecz niezapomnianych.

Nie przebrzmiałemu jeszcze echu dzwonów i syren zawtórował

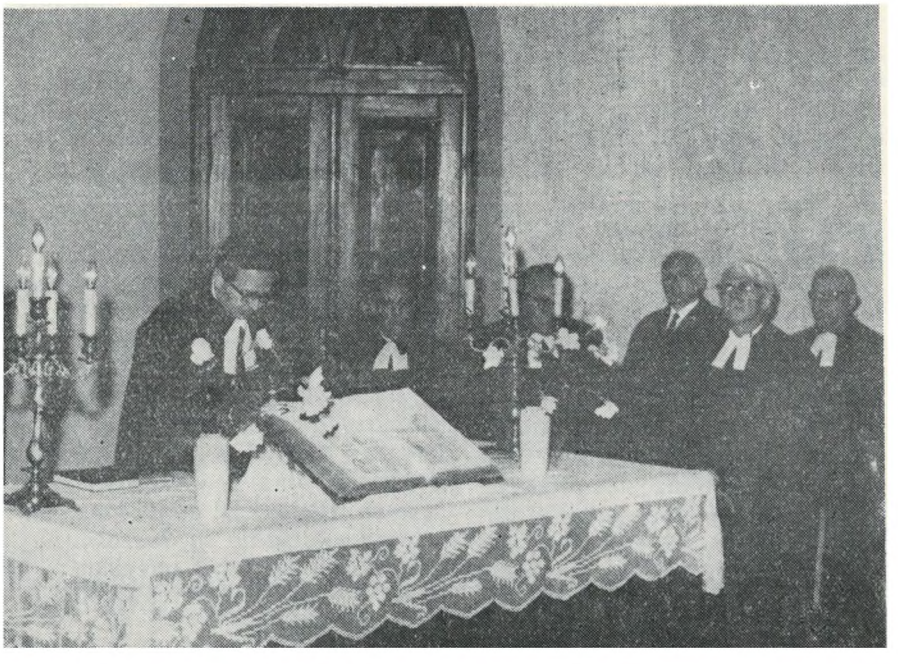

Przygotowanie
do Wieczerzy Pańskiej

# Zarządu Kościołów Reformowanych

silny głos ludzi, śpiewających w sposób spontaniczny hymn: „Boże coś Polskę..". Była to chwila wspaniała, łącząca w sobie wszystkie najlepsze myśli i uczucia ludzi zebranych w kościele, na ulicach miast, w domach, w fabrykach całej Polski. „Bo nie ma większej miłości nad tę, jak kiedy kto życie swoje kładzie za przyjaciół swoich".

Drugie kazanie na tym nabożeństwie, tłumaczone, jak i pierwsze, przez ks. Bogdana Trandę, wygłosił ks. Pierre Bourguet. Powitał on serdecznie zebranych i przekazał pozdrowienia od Europejskiego Zarządu Kościołów Reformowanych. Nawiązując do tematu kazania (o rzeczach starych i nowych), pastor Bourguet powiedział: „Chcę wspomnieć, że spotkaliśmy się dzisiaj, w dniu 9 maja 1965 r., w dniu 20 rocznicy zakończenia straszliwego koszmaru. Trzeba by nic nie ucierpieć w czasie wojny, aby zapomnieć o tej dacie pamiętnej dla wszystkich, co ją przetrwali i opłakują tyle ofiar. Pokój między ludźmi należy do tych „rzeczy nowych", które uczniowie Chrystusa powinni pojąć i do nich wzywać, nawet jeżeli wspólnie z apostołem Pawłem żywią przekonanie, że rzeczy widzialne są doczesne, a rzeczy niewidzialne wieczne".

W trakcie nabożeństwa ks. Mobbs, przedstawiciel reformowanego Kościoła w Szwajcarii, odczytał list od Konsystorza w Genewie, w którym podkreślono kontakty obu Kościołów i zapewniono o życzliwym stosunku wyznawców z Genewy do braci polskich. Bezpośrednio po nabożeństwie ks.ks. Bourguet i sup. J. Niewieczerzał udzielali Sakramentu Wieczerzy Pańskiej, do którego przystąpili wraz z członkami zboru warszawskiego wszyscy uczestnicy konferencji.

W liście jaki nadszedł na ręce ks. sup. J. Niewieczerzała od ks. M. Pradervanda z Genewy, czytamy: „Wspomnienie o naszym posiedzeniu w Warszawie na pewno zbyt szybko nie przeminie. Szczególnie głębokie wrażenie wywarło na nas nabożeństwo w dniu 9 maja". W podobnych słowach określa swoje wrażenia w nadesłanym z Paryża liście, ks. Bourguet. Tego samego dnia, tzn. w niedzielę po południu w sali parafialnej przy ul. Świerczewskiego 76a odbył się tradycyjny wieczór zborowy, w którym, obok licznie zgromadzonych członków zboru warszawskiego, uczestniczyli goście zagraniczni. Wieczór ten prowadził ks. sup. J. Niewieczerzał, a prezes warszawskiego Kolegium Kościelnego , pan Jan Skierski, powitał gości w imieniu członków zboru.

Grupa młodych ludzi przygotowała i przedstawiła widowisko oparte na technice chińskich cieni, a zatytuowane: „Oni wybrali...". Sens przedstawienia polegał na unaocznieniu widzom, że od nas samych, od każdego poszczególnego człowieka, zależy dokonanie wyboru pomiędzy Dobrem i Złem. Widowisko wskazało również na skutki wyboru Zła. Jedna z ostatnich scen przedstawiała zdobycze cywilizacji i techniki, które stały się dostępne dla człowieka. Na ekranie pojawiały się cienie ludzi niosących w dłoniach eksponaty, symbole cywilizacji, postępu, dobrobytu: dom, samochód, samolot, bombę „A". Za każdym pojawieniem się nowego cienia głos prowadzący powtarzał: „Pokój i bezpieczeństwo". Ostatni cień, jaki pojawił się na ekranie — był cieniem człowieka niosącego bombę „H". Wolno przesuwał się na tle ekranu — towarzyszył mu okrzyk: „Pokój i bezpieczeństwo"! W pewnym momencie człowiek potknął się i upadł. Bomba wypadła mu z ręki. Błysk, huk, czerwień. Na tle potwornej kakofonii dźwięków, wolno, bardzo wolno na ekranie wyrastać zaczął sinoczerwony grzyb atomowy... Ci ludzie także dokonali wyboru!

Widowisko wywarło silne wrażenie na obecnych, tak członkach zboru, jak i gościach zagranicznych, którzy w wygłaszanych w trakcie wieczoru przemówień, obok relacji z pracy swych Kościołów, powracali także do ostrzegawczej wymowy inscenizacji. Krótkie przemówienia wygłosili ks. ks. Halaski, Mobbs, Rogler, Ribet oraz panie: Shearer i Rogler.. Przemawiał także ks. bp Bartha, który ze względu na spóźnienie samolotu wprost z lotniska przybył na odbywającą się uroczystość. Ks. bp Bartha m.in. poinformował zebranych, że za dwa lata, tzn. w roku 1967 w Debrecenie odbędzie się wielka uroczystość — jubileusz 400-lecia przyjęcia przez Węgierski Kościół Reformowy II Konfesji Helweckiej.

Po części oficjalnej wieczoru wszyscy obecni mieli możność w szczerych i serdecznych rozmowach nawiązać znajomość i kontakty osobiste.

Dzień następny, tzn. 10 maja, był poświęcony na obrady Zarządu, które rozpoczynano wcześnie rano, a kończono późnym południem. Tym nie mniej w godzinach południowych udano się do Ogrodu Saskiego, aby na płycie Zwycięstwa złożyć wieniec kwiatów. Wieniec nieśli przedstawiciele Zarządu Europejskiego i Konsystorza Kościoła Reformowego w PRL. Tego samego dnia, o godz. 20, w sali hotelu „Bristol" wydane zostało przez Konsystorz naszego Kościoła przyjęcie z okazji konferencji i 20 rocznicy zakończenia wojny. Na przyjęciu byli przedstawiciele Władz Państwowych i miejskich, uczestnicy konferencji, Konsystorz Kościoła Reformowego, Kolegium Kościelne Zboru Warszawskiego, duchowni, przedstawiciele wyznań zrzeszonych w PRE oraz ambasador Federacji Szwajcarskiej, małżonka ambasadora Republiki Ghany i I sekretarz ambasady Republiki Francji. W imieniu organizatorów, zaproszonych gości powitał ks. sup. Jan Niewieczerzał i po krótkim okolicznościowym przemówieniu wzniósł toast za pokój, pomyślność i rozwój naszej Ojczyzny. Serdeczne i ciepłe słowa wypowiedział o Kościele Reformowanym w Polsce i o naszym kraju ks. P. Bourguet, a wicedyrektor Urzędu do Spraw Wyznań, Jan Bohdan, podkreślił, że miasto, w którym odbywa się konferencja udowodniło światu, że uczucie miłości jest silniejsze od nienawiści. Wiedząc zaś o projektowanej wycieczce po Polsce, powiedział do gości zagranicznych, aby patrząc i obserwując to, co zostało w naszym kraju dokonane, chcieli w ocenie zastosować jedyne kryterium — własne sumienie.

Dzień następny, 11 maja, był dniem wytężonych obrad i dniem wizyty, jaką członkowie Zarządu

i Konsystorza polskiego złożyli w U.S.W., podejmowani przez wicedyrektora Jana Bohdana i naczelnika wydziału Serafina Kiryłłowicza.

We środę, która uznana została za „dzień polski" na konferencji, przed południem ks. J. Niewieczerzał przedstawił gościom zagranicznym — w obecności członków Konsystorza, Kolegium warszawskiego i niektórych członków zboru — sytuację w polskim Kościele reformowanym na tle jego powstania i historii, a po południu prof. Oskar Bartel mówił o udziale Polaków w Reformacji.

W południe przedstawiciele Zarządu z pastorem Bourguet na czele, ks. superintendent Jan Niewieczerzał i prezes Konsystorza, pan Aleksander Garszyński, przyjęci zostali przez Przewodniczącego Stołecznej Rady Narodowej, Janusza Zarzyckiego, w obecności kierownika Wydziału do Spraw Wyznań, Romana Kochańskiego. Janusz Zarzycki na zakończenie wizyty wręczył wszystkim obecnym Medale 700-lecia Warszawy.

Późnym popołudniem w budynku parafii warszawskiej odbyło się spotkanie kobiet z Sekcji Ewangelizacyjno-Społecznej z paniami: Lusk, Shearer, Piguet i Rogler, które serdecznie powitała przewodnicząca Sekcji, pani Benita Niewieczerzał. W spotkaniu uczestniczyli także: ks. ks. Pradervand, Rogler i sup. Niewieczerzał. Wymieniono cenne uwagi o pracy i roli kobiet w Kościele.

Czwartek i piątek goście spędzili w podróży po Polsce, zwiedzając m.in. Oświęcim, Kraków, Bielsko i Częstochowę. Silne wrażenie, o którym goście mówili bezpośrednio oraz potwierdzili je w nadesłanych już z zagranicy listach, towarzyszyło zwiedzaniu obozu zagłady w Oświęcimiu. Do Warszawy powrócili w późnych godzinach nocnych z piątku na sobotę, a już pierwsza grupa z ks. Pradervandem na czele, opuściła stolicę w sobotę o godz. 6 rano, odprowadzana na lotnisko przez przedstawicieli polskiego Kościoła.

Wszyscy podkreślali serdeczne przyjęcie, jakiego doznali w Polsce oraz życzliwą atmosferę, która wszędzie im towarzyszyła.

B.ST.

## Pokłosie warszawskiej konferencji

# WYWIAD Z KS. PIERRE BOURGUET W „RÉFORME"

*W czasopiśmie „Réforme" we Francji ukazał się wywiad z ks. Pierre Bourguet. Sądzimy, że przytoczone niżej fragmenty zainteresują naszych Czytelników, jako uzupełnienie naszego wywiadu, opublikowanego w poprzednim numerze Jednoty.*

„Jakie jest położenie reformowanych w Polsce?

— „Opowiadano mi, że w 1945 roku, po oswobodzeniu i zwycięstwie, kiedy po raz pierwszy mogło się odbyć nabożeństwo w ruinach kościoła w Warszawie, prowadzone zresztą przez świeckiego członka zboru, zgromadziło się zaledwie 6 osób. Znaczy to, że rozproszenie, ciężkie doświadczenia i żałoba niemal doszczętnie zniweczyły to wszystko, co dziś stopniowo zostało w części odbudowane, ponieważ w tej chwili znajduje się w Polsce kilka tysięcy reformowanych. Oprócz nich są inni protestanci: luteranie, (w Warszawie znajduje się bardzo duży kościół luterański), baptyści, ewangeliczni chrześcijanie. Spotkaliśmy również prawosławnych i starokatolików podczas przyjęcia ekumenicznego, które zgromadziło 75 osób.

„Młodzież Kościoła reformowanego w Polsce, pełna zapału — powiedział nam pastor Bourguet — zbiera się często w grupach, przyjmuje w swoim lokalu innych protestantów, nieprotestantów, jak również ludzi niezaangażowanych i marksistów, dyskutuje nad problemami ogólnymi, biblijnymi, w duchu lojalności i braterstwa.

„Dwukrotnie spotkał się pastor Bourguet z przedstawicielami władz świeckich, mianowicie z jednym z wicedyrektorów Urzędu do Spraw Wyznań oraz z przewodniczącym Stołecznej Rady Narodowej, generałem Zarzyckim, przez którego został przyjęty z delegacją Europejskiego Zarządu.

— „Odbyliśmy z przewodniczącym Rady Narodowej w Warszawie interesującą rozmowę dotyczącą sytuacji wyznaniowej, wolności sumienia i zakresu swobód, jakimi cieszą się chrześcijanie. Dało to nam niezwykłą okazję do wykazania, w jakim stopniu nasz reformowany ustrój może dostosować się w doskonały sposób do rozdziału Kościoła od Państwa, ponieważ jest to zasada, którą znamy i stosujemy we Francji o wiele dłużej, niż gdzie indziej (...)

„Jakie ogólne wrażenie wywarł na Księdzu naród Polski?

— „Wrażenie wielkiego narodu, ogromnie pracowitego, dumnego i odważnego — odpowiada mi pastor Bourguet. — Sądzę, że jeżeli w Marignan mówiło się o „furia francese", to tam należy stale mówić o „courage polonais" (odwadze polskiej) — o tej niezwykłej odwadze, która ujawniła się w czasie trwania drugiej wojny światowej, być może bardziej, niż w innych krajach i która wyraża się dzisiaj w zbiorowej woli pokonania wszystkich trudności (...)

„Czy ludzie wyglądają na szczęśliwych?

— „Nie sądziłem, że naród polski w takim stopniu odzyska spokój i równowagę. W obcowaniu jest często radosny, żywo postępuje naprzód, pomimo poważnego wysiłku i stosunkowo niewielkiej ilości rozrywek, którymi dysponuje. Tak, ludzie się uśmiechają, oni mają naprawdę radosne spojrzenie.

„Księże prezydencie, od dawna miał ksiądz kontakty ze wszystkimi Kościołami. Czy zechciałby Ksiądz coś powiedzieć o tych kontaktach, które Ksiądz miał z Kościołami krajów wschodnich?

— „To jest doprawdy sprawa, która bardzo leży mi na sercu. Przed dziesięciu, piętnastu laty kontakty z kościołami położonymi w krajach socjalistycznych były nieliczne i trudne. Od tego czasu, przeciwnie, bardzo się rozwinęły. Należę do tych, którzy uważają kontakty te za ogromnie pożyteczne. Parokrotnie mogłem udać się, jak wielu innych pastorów i laików na Wschód do szeregu krajów. Wkrótce pojadę do Czechosłowacji i Rumunii. Jestem zdania, że jest rzeczą niezbędną podtrzymywanie i pogłębianie duchowego braterstwa, które nas łączy, poznanie na miejscu tych braci w Chrystusie (...)

tłum. C. B.

Rycina starej Bazylei — po prawej kościół św. Marcina, w pobliżu którego 25.IX.1815 r. odbyło się historyczne posiedzenie

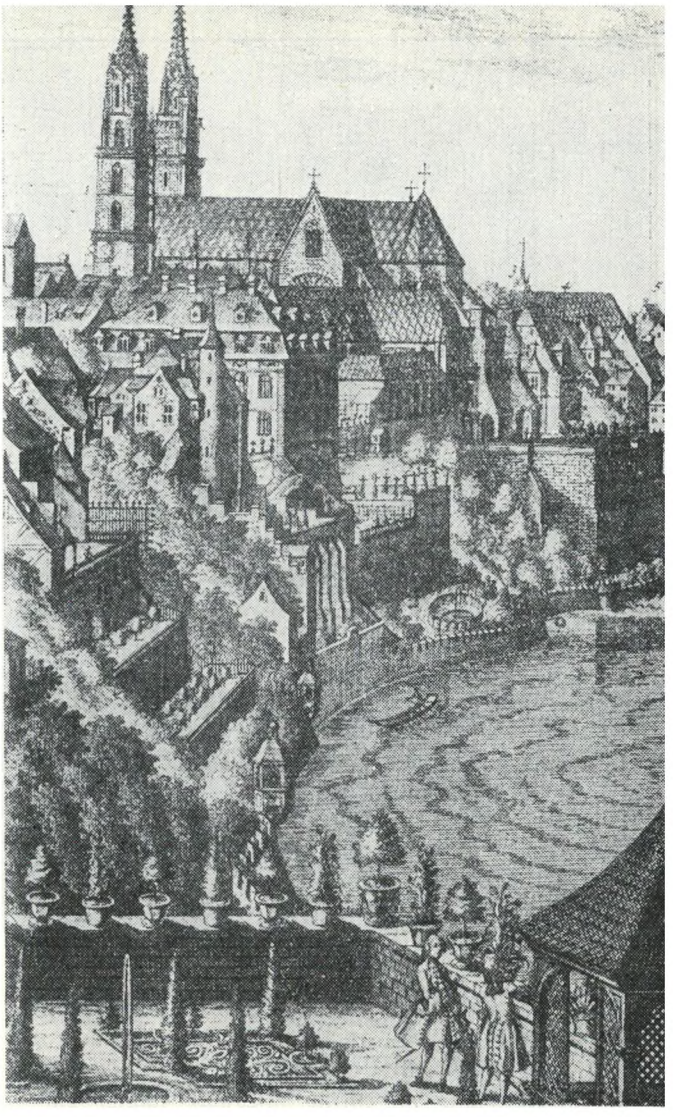

# 150 lat Misji Bazylejskiej

23 MAJA br. w katedrze reformowanej w Zurychu, odbyło się w godzinach popołudniowych uroczyste nabożeństwo z okazji jubileuszu 150-lecia istnienia Misji Bazylejskiej, jednego z najstarszych w Europie i na świecie towarzystw misyjnych. Była to szczególna uroczystość dla wszystkich przyjaciół „Basler Mission", mieszkających w kantonie zuryskim. Okolicznościowe kazanie wygłosił prezydent Rady Kościelnej — pastor Robert Kurz; natomiast goście z Afryki i Azji przekazywali pozdrowienia od zborów i Kościołów tubylczych. Główne uroczystości jubileuszowe odbędą się jeszcze jesienią tego roku w Bazylei. Czerwiec jest obchodzony w Szwajcarii jako miesiąc misji.

## HISTORIA

Wśród towarzystw misyjnych „Basler Mission" jest zjawiskiem wyjątkowym. Powstanie „Misji" odbywało się w bardzo dramatycznych okolicznościach. Łączy się ono z datą 25 września 1815 r., gdy w domu pastorskim przy kościele św. Marcina przy akompaniamencie huku dział, docierającego z pobliskiego Hüningen, zebrało się 7 mężczyzn — 5 Szwajcarów i 2 Niemców — z zamiarem powołania do życia „zakładów misyjnych". Od samego początku „Basler Mission" nosiła charakter międzynarodowy i ponadkonfesyjny. Zródeł jej szukać należy w łonie chrześcijańskiego społeczeństwa Niemiec, zwłaszcza — w ruchu pietystyczno-ewangelicznym z końca XVIII wieku. Ruch ten szerzył się głównie pod wpływem dr J. A. Urlspergera zarówno w Niemczech, jak i w Szwajcarii wśród rozproszonych małych kół przebudzeniowych. Dają się zauważyć także wpływy angielskiego ruchu przebudzeniowego, który docierał do Niemiec i Szwajcarii za pośrednictwem K. F. Steinkopfa, łącząc się następnie z niemieckim ruchem przebudzeniowym, reprezentowanym przede wszystkim przez Christiana Gottlieba Blumhardta, który był pierwszym inspektorem misyjnym (1816—1838), Christiana F. Spittlera oraz panią von Krüdener. Założenie Towarzystwa Bazylejskiego stało się impulsem do powstania szeregu innych towarzystw misyjnych w innych miastach, jak np. w Barmen, Lipsku a także Paryżu i Bremie. „Basler Mission" od samego początku była dziełem międzynarodowym, skupiając członków ze Szwajcarii, Niemiec, Alzacji i Austrii.

Początek misji stanowiła budowa szkoły. W rok po zorganizowaniu Towarzystwa Bazylejskiego wybudowno pierwszy dom. Mieściła się w nim szkoła misyjna, do której przyjmowano młodych mężczyzn, świadomie poświęcających się pracy dla Chrystusa. Pastor Nikolaus von Brunn był założycielem i pierwszym prezydentem Misji; on także przygotował do służby pierwszych 7 wychowanków misyjnych; w chwili wręczania dyplomów zwrócił się do nich słowami, które zaczerpnięte zostały z modlitewnika zawierającego rozmyślania codzienne dla użytku członków „Zboru herrnhutów", inaczej zwanych braćmi morawskimi, i zacytował tekst z proroka Zachariasza (4:6): „nie wojskiem ani siłą stanie się to, ale duchem moim, mówi Pan zastępów". W ciągu 140 lat do seminarium misyjnego w Bazylei wstąpiło

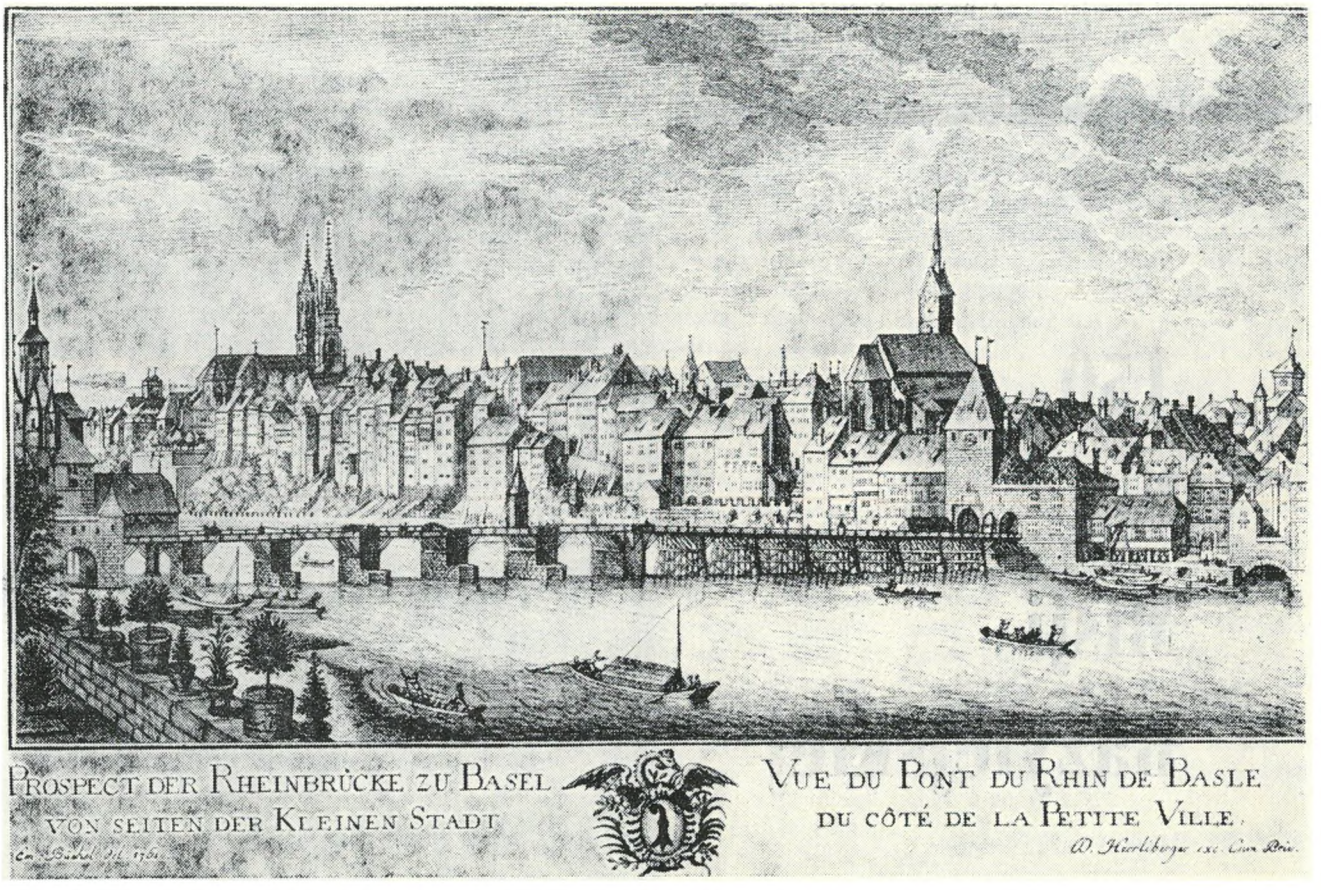


równo 2660 młodych ludzi; byli to rzemieślnicy, rolnicy, kupcy, urzędnicy i inni, którzy z najbardziej wewnętrznych pobudek poświęcić się pragnęli tej pracy. W Bazylei otrzymywali oni gruntowne wykształcenie językowe i teoretyczne. Nie mniej niż 1750 wstąpiło następnie do służby misyjnej, udając się, dosłownie, we wszystkie strony świata; pozostali otrzymali odpowiednie zadania w swej ojczyźnie. Znaczna część odbyła dodatkowo pełne studia teologiczne, zdobywając dyplomy uniwersyteckie; ci ostatni piastują obecnie odpowiedzialne stanowiska, jako duszpasterze w poszczególnych zborach „Kantonalkirchen" (Kościoły kantonalne).

W ciągu jednego stulecia dokonał się olbrzymi postęp w pracy misyjnej. Powzięto również epokową decyzję, aby zastąpić ludzi z wykształceniem seminaryjnym przez nowych, ordynowanych misjonarzy, posiadających wykształcenie uniwersyteckie. W ciągu ostatnich lat dom misyjny w Bazylei stał się, w ścisłym tego słowa znaczeniu, ośrodkiem misyjnym.

## MISJA — AFRYKA I AZJA

W kilka lat po ukończeniu szkoły przez pierwszych 7 absolwentów, liczba kończących regulaminowe studia misyjne znacznie się powiększyła. Można było zacząć myśleć o wysłaniu pierwszych misjonarzy do ich właściwych zadań, tj. na pola misyjne. Przedtem jednakże odbyła się wielka konferencja z udziałem przedstawicieli innych towarzystw misyjnych. 88 misjonarzy z „Basler Mission" wysłano do pracy w Afryce i Azji za pośrednictwem angielskich towarzystw misyjnych, należących do Kościoła anglikańskiego (Church Missionary Society). Wśród tych misjonarzy, oddelegowanych niejako do służby w ramach innych towarzystw misyjnych, znalazło się szereg wybitnych mężów, jak np. Ludwik Krapf i J. Rebmann — odkrywcy najwyższego szczytu górskiego na kontynencie afrykańskim — Kilimandżaro, także Samuel Gobat — pierwszy protestancki biskup Jerozolimy, oraz dwaj lingwiści — Schön i Kölle. Pierwszy wychowanek domu misyjnego, Wilhelm Dürr, był świadkiem powstania wielkiego ruchu misyjnego w Bengalii (Indie); sam ochrzcił wówczas przeszło 3 tysiące Hindusów. Próba rozpoczęcia misji na Kaukazie nie powiodła się, ponieważ nie zyskała poparcia carów, lecz już w roku 1828 na Złotym Wybrzeżu (dzisiejsza Ghana) rozpoczęli pracę pierwsi misjonarze. Groby kryjące zwłoki 200 misjonarzy — mężczyzn i kobiet — są najlepszym dowodem, jak wielkiej ofiary „zażądała" Ghana. Nie mniej, niż 12 misjonarzy zginęło tutaj w czasie ostatniej wojny.

W 1834 r. teren misyjny rozszerzył się poza ten kraj, gdy pracownicy „Basler Mission", wylądowali na zachodnim wybrzeżu Indii. W 1846/47 Misja rozpoczęła pracę w południowych Chinach. W 1886 r. został zrobiony pierwszy krok w Kamerunie. Po I wojnie dawniejsze placówki Misji Reńskiej w Kalimanta, na Borneo (Indonezja), przejęła „Basler Mission", a w latach 1952 i 1959 pracownicy Misji wyruszyli do Sabah (Malajzja) i do północnej Nigerii. W roku 1951 rozpoczęto pracę w Honkongu. Niewielkie grupki na wszystkich polach misyjnych Misji Bazylejskiej rozrosły się obecnie do rzędu prężnych, samodzielnych Kościołów. I tak np. przed 137 laty „Basler Mission" w Ghanie rozpoczynała pracę z nakładem ogromnych ofiar, aby chrześcijańskie świadectwo rozszerzyć na cały ten kraj; obecnie działa tu Kościół prezbiteriański, żyjący w przyjaźni z Misją Bazylei i liczący sporo ponad 200 tysięcy wyznawców. Także niewielki Hakka — Kościół w Hongkongu powiększył się czterokrotnie w ciągu ostatniego ćwierćwiecza i liczy aktualnie 7 tysięcy członków. Z wyjątkiem pracy o charakterze pionierskim, mamy dzisiaj wyłącznie do czynienia z Kościołami, które kontynuują dalszą pracę misyjną.

## SZKOŁY

Wszędzie tam, gdzie dotarła Misja Bazylejska, szeroko rozwinęło się również szkolnictwo. Powstała ogromna sieć szkół powszechnych. W Ghanie np. szko-

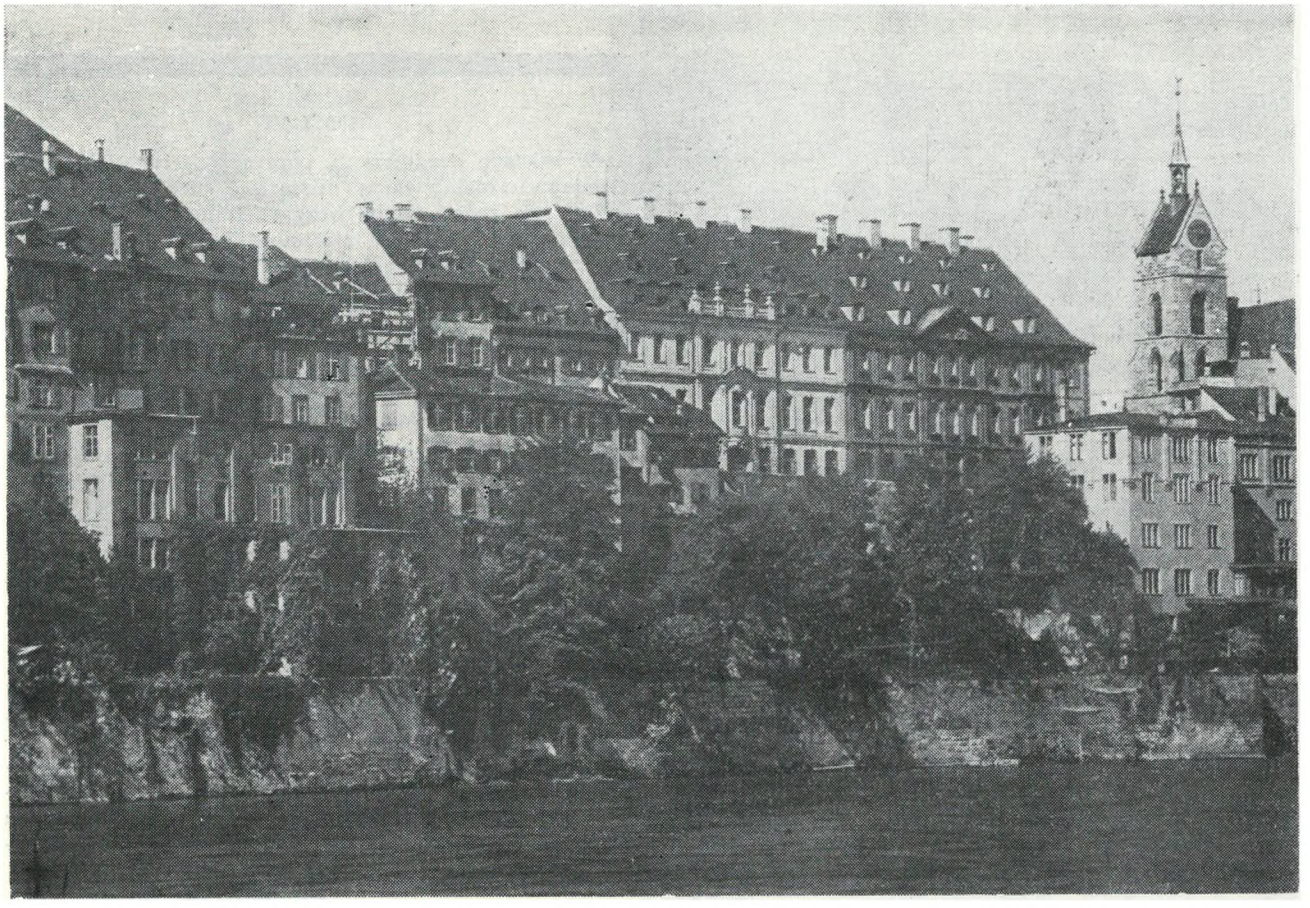

ły misyjne zostały przejęte przez Kościół. Oczekuje się, że niebawem to samo nastąpi również w Kamerunie. W 1961 r. został wprowadzony w Ghanie powszechny obowiązek uczęszczania do szkoły; według wszelkiego prawdopodobieństwa w 1970 r. to samo nastąpi w Kamerunie. W obydwu tych krajach liczba seminariów nauczycielskich bardzo znacznie wzrosła. Misja Bazylejska zasiliła szeregi nauczycieli pracujących w seminariach nauczycielskich, sprowadzając, w celu podniesienia poziomu nauczania, wysoko kwalifikowane siły z wielu krajów Europy. Przed szkolnictwem otwiera się jedyna w swoim rodzaju możliwość zbliżenia młodzieży do chrześcijaństwa. Jednakże dla spełnienia tego zadania trzeba mieć do dyspozycji świadomych chrześcijan. Przyszli urzędnicy państwowi i studenci zdobywają wiedzę w szkołach gimnazjalnych. Lecz ważne jest, żeby ci młodzi ludzie poznali także, iż mają Pana, wobec którego ponoszą wielką odpowiedzialność. Szczególnie ważną sprawą jest kształcenie dziewcząt. Na kursach gospodarstwa domowego w Kalimantan na Borneo (Indonezja) oraz w szkołach wzorowych gospodyń wiejskich, które znajdują się właśnie w stadium organizowania, i w szkole dla dziewcząt mających zamiar wstąpić w związek małżeński (w miejscowości Bafut w Kamerunie), jak i w ośrodku szkoleniowym dla kobiet (Begoro w Ghanie) dziewczęta są starannie przygotowywane do wypełniania przyszłych obowiązków żon i matek.

W obecnych czasach, gdy tak wiele mówi się na temat udzielania pomocy technicznej państwom młodym i rozwijającym się, należy przypomnieć, że już w roku 1857, z inicjatywy „Basler Mission", w Christiansborgu, w dawnym Złotym Wybrzeżu, zorganizowano szkołę rzemieślniczą, która przez długie lata była jedyną tego rodzaju szkołą na całym zachodnim wybrzeżu Afryki. Wychowanków tej szkoły: stolarzy, kołodziejów, kowali i ślusarzy — wydzierano sobie, dosłownie, z rąk do rąk! Dobre tradycje tej szkoły przetrwały do dziś. Obecnie np. jeden z mistrzów stolarskich ze szkoły w Christiansborgu poświęcił się pracy wśród tubylców w Indiach. W Mangalore znajduje się ośrodek kształcący wykwalifikowanych mechaników, a w Mandomai (Indonezja) rozpoczęto budowę podobnej szkoły dla przyszłych stolarzy. Jest to jedna z bardzo poważnych form wychowania, przynosząca zresztą świetne rezultaty.

Misja Bazylejska od dawna przywiązywała wielką wagę do spraw szkolnictwa. W Akropong (Ghana) przed I wojną światową powstała pierwsza ferma doświadczalna. Ferma ta posiada bez mała stuletnią historię. Już bowiem w roku 1858 zebrano tutaj pierwsze owoce kakao. Bazylejscy misjonarze wnieśli decydujący wkład do powstania i rozwoju kultur kakaowych w tym kraju. Na wyjątkowe próby została wystawiona pionierska służba misjonarzy i agronomów w Kalimantan (Tumbang Lahang) i w Sabah (Tinangol), gdzie w szkolach rolniczych czynione są próby wyprowadzenia rolnictwa na nowe drogi, w celu zdobycia większej ilości środków żywnościowych. Główne przeszkody w tej pracy, to fatalizm, chroniczne niedożywienie tutejszych mieszkańców, od lat całych i pokoleń utrwalona wiara w złe duchy. Podobna sytuacja występuje także w Indiach i północnej Ghanie; na tych terenach również nie ustają w swoich wysiłkach specjaliści-agronomowie.

## SŁUŻBA LEKARSKA

Szczególną rolę w misji ma do spełnienia służba chrześcijańskich lekarzy i pielęgniarek. Zapoczątkował ją doktor medycyny Rudolf Fisch z Aarau, który w roku 1885 udał się do ówczesnego Złotego Wybrzeża i pracował wśród tubylców przez 25 lat. Przyczynił się on do powstania stałej służby lekarskiej w ramach misji, a jego długoletnia i błogosławiona działalność niewątpliwie przyczyniła się do zwycięstwa nad malarią. W 1886 został wysłany do Indii dr Liebendörfer. W roku 1893, Westfalczyk, dr Wittenberg założył misję lekarską w Kayiuntschu. Służba lekarzy i sióstr miłosierdzia przeżyła ogromny rozwój na wszystkich polach misyjnych. Dzisiaj praca ta prowadzona jest przez lekarzy specjalistów i świetnie

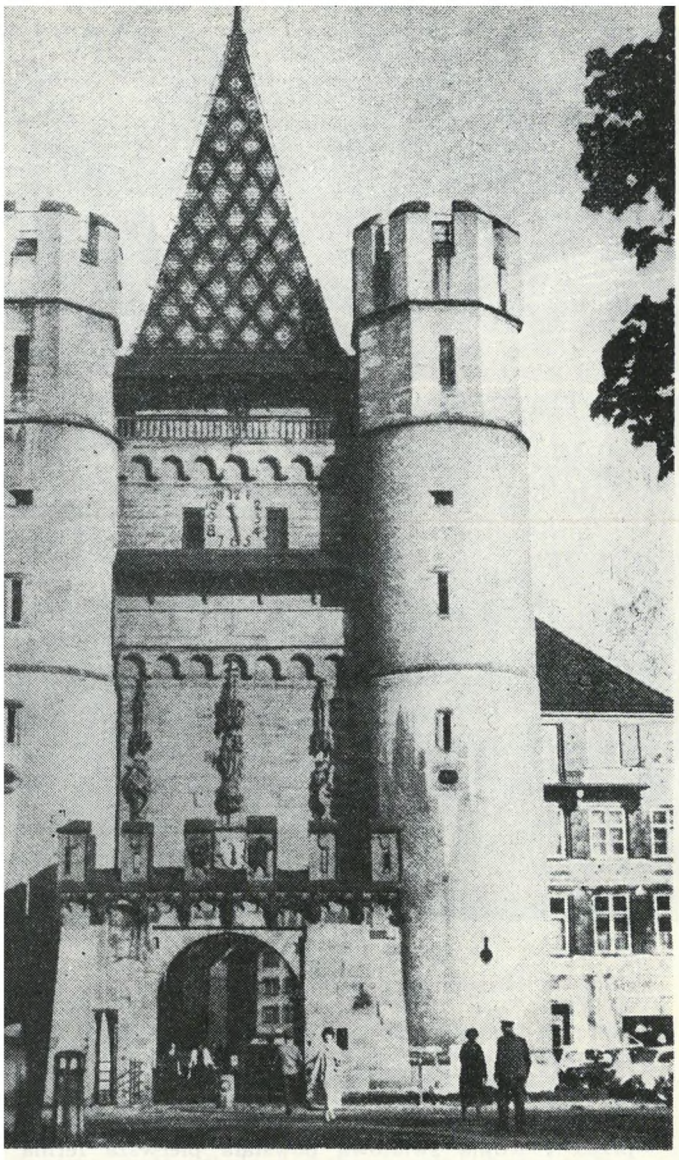

„Spalentor" — symbol miasta

wyszkolone pielęgniarki, którzy posiadają do swej dyspozycji w poliklinikach, laboratoriach i szpitalach nowoczesną aparaturę i najnowsze medykamenty. W Ghanie np. znajdują się 4 szpitale. Szpital w Agogo, prowadzony przez dr Hansa Meistera, posiada 170 łóżek na oddziałach: chirurgicznym, internistycznym, położniczym, dziecięcym i gruźliczym. Rocznie dokonuje się 3 tys. operacji. Corocznie przychodzi tutaj na świat 700 noworodków, a z polikliniki korzysta 16 tys. pacjentów. Inny szpital znajduje się w południowo-zachodniej części Ghany, w Bechen, a jeszcze inny, nieco większy, w Dorma-Ahenkro.

W Kamerunie, w miejscowości Manyemen, w zakładach dla trędowatych, założonych przez dr Voûte, wielu nieszczęśliwych ludzi znajduje pomoc i opiekę. W najbliższej przyszłości dwa inne szpitale oddane zostaną do użytku ludności — w Manyemen oraz drugi w Acha Tugi, położony w terenie stepowym. Mniejszy szpital powstaje w północnej Nigerii. W Indiach udziela się pomocy przewlekle chorym w dwóch szpitalach: w Udipi i Betgeri. Na zapleczu Hongkongu pracują również siostry misyjne w 8 poliklinikach należących do Kościoła Hakka.

**Widok z krużganka katedry bazylejskiej**

## 150 LAT

W czasach dzisiejszych, poprzez ogromne bogactwo środków oddziaływania, misja jest ruchem tak potężnym, jak żaden chyba inny ruch na świecie. Ciągle otwierają się przed nią nowe możliwości służby chrześcijańskiej i ciągle nowe zadania. Nie można też zaprzeczyć osiągnięciom i rezultatom dydaktycznym i wychowawczym misji. Szczególną rolę odgrywa tu praca misji nad praktycznym — rolniczym lub zawodowym wykształceniem ludności. Do innych ważnych zadań należą projekty budowy ośrodków szkoleniowych — dla poradni, kursów, konferencji, dalej szkolenie laików oraz rozbudowa 7 istniejących już seminariów teologicznych, w których pobierają wiedzę miejscowi pastorzy, a także budowa ważnych obiektów kościelnych. Tylko w ub. roku liczba aktywnych pracowników misyjnych wzrosła z 271 do 339; w ciągu ostatnich pięciu lat wzrost ten wyniósł nie mniej, niż 50%. Uroczystość 150-lecia Misji Bazylejskiej jest ważnym kamieniem milowym w jej historii i powinno to członkom zborów chrześcijańskich przypomnieć i zmobilizować ich do większej ofiarności na rzecz Misji. I jeśli słuszną jest rzeczą, że bracia i siostry partycypują w akcji „Chleb dla (głodnych — przyp. MR) braci", której część funduszów przeznaczona jest także na rozwój misji, to mimo wszystko wiedzieć należy, że pracownicy, działający na polach misyjnych, skazani są głównie na pomoc zborów ojczyźnianych.

Na podstawie NZZ nr 139
opracował
MAREK RETO

# HIROSZIMA ... i co dalej?

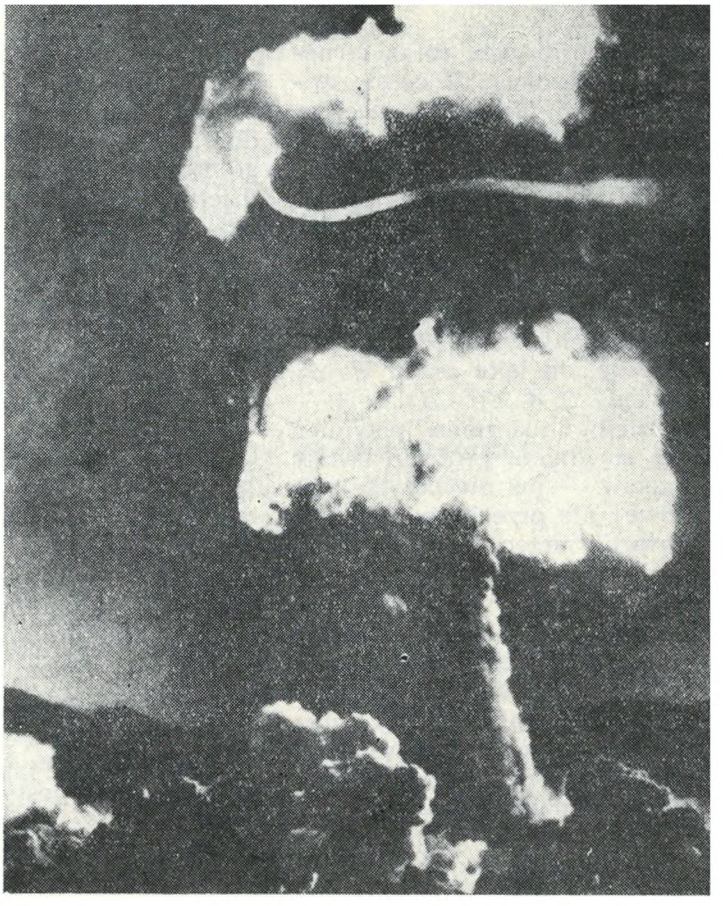

6 SIERPNIA ROKU 1945 została zrzucona na świat pierwsza bomba atomowa. Było to w Hiroszimie, w Japonii, już 20 lat temu. To właściwie, zdawałoby się, historia.

W dniu 18 czerwca 1965 roku prasa doniosła, że ostatnio właśnie w Hiroszimie zmarła w wieku 54 lat znana poetka japońska Sinoe Sioda z powodu choroby popromiennej. Jest to jeszcze jeden z rezultatów wybuchu atomowej bomby nad Hiroszimą, faktu, który można by zaliczyć już do historii, gdyby nie to, że jego następstwa trwają do dziś.

Doniesienie prasy o śmierci poetki japońskiej było krótkie, zwięzłe, powiedziałbym — lakoniczne. „... Jej wiersze opowiadają o okropnościach, jakich była świadkiem w sierpniu 1945 roku i wzywają do zakazu broni jądrowej. Od 10 lat poetka była przykuta do łóżka, ale nie zaniechała walki o pokój. W 1959 roku zorganizowała w Hiroszimie towarzystwo matek, domagających się zakazu broni nuklearnej. W pracach tego towarzystwa brała udział do ostatnich dni swego życia".

Ileż ukrytych tragedii można wyśledzić między wierszami tej treściwej informacji. Tragedii nie tylko tej poetki, ale wszystkich, którzy począwszy od sierpnia 1945 roku bądź zginęli natychmiast w Hiroszimie i Nagasaki, bądź też później chorowali i umierali wskutek choroby popromiennej. I chorują i umierają do dzisiaj, niektórzy tak, jak w 1963 roku Kimijo Tanaka i Isamu Yamamoto, którzy dotknięci tą samą straszną chorobą, popełnili samobójstwo, o czym wzruszająco napisał Roman Sadowski w swym wierszu pt. „Sandały". A ofiar tych dwóch „małych" i jeszcze „słabych" bomb atomowych można dziś naliczyć już setki tysięcy! Pomyślmy: od dwóch bomb atomowych — setki tysięcy ofiar, zabitych, lub zmarłych w ciągu długich 20 lat. Ile jeszcze dodać można kalek, strzępów ludzkich, dzieci -potworków, które do dziś rodzą się z matek dotkniętych chorobą popromienną. Pomyślmy: to już 20 lat! A jeszcze i jeszcze ofiary dogorywają. I jak długo jeszcze będą dogorywać? Te pierwsze bomby atomowe, to nie historia, o nie! To jeszcze dzisiejsza rzeczywistość. Nie tylko dlatego, że nieustannie zagrażają nam nowe bomby atomowe, wielokrotnie potężniejsze, aniżeli tamte, z Japonii, ale dlatego, że skutki tych dwu pierwszych bomb dają znać o sobie do dzisiaj.

Rzeczywistość ta jest wstrząsającym ostrzeżeniem dla świata, który brnie w coraz to nowych sporach, coraz to no-

wych konfliktach, coraz to nowych tragediach. Chce się wołać: więcej rozwagi, więcej opanowania, więcej dobrej woli, więcej etyki w postępowaniu, więcej poszanowania dla człowieka i jego życia!

Hiroszima, Nagasaki... 6 sierpnia 1945 roku... to było już 20 lat temu. Ale przecież dziś nie jesteśmy wolni od lęku atomowego, od lęku przed wojną. A więc... co dalej? Co dalej?!

Dzień 6 sierpnia powinien stać się dniem protestu świata przeciw — już nie bombie atomowej, ale przeciw wojnie atomowej i przeciw wszystkiemu co do niej prowadzi i ją przygotowuje. „My wszyscy powinniśmy... całą siłą naszych serc i umysłów przeciwstawić się tej nieludzkiej, niszczycielskiej potędze" — napisał w przedmowie do książki „No more Hiroshima", Robert Jungk. Świat ostatnich dziesiątków lat zna wiele hańb okrywających historię ludzkości. Do nich należą: wszystkie obozy koncentracyjne, komory gazowe, egzekucje uliczne, bezprzykładne okrucieństwo cywilizowanych ludzi podczas wojen, wszelkie miejsca masowych mordów, ujarzmianie narodów, walka z ruchami wyzwoleńczymi, łapanki uliczne i niewolnicze zsyłanie „na roboty". Do nich należy także bomba atomowa, użyta w Hiroszimie i Nagasaki. Starajmy się uchronić świat od nowej hańby: od wojny atomowej.

Do rzeczowych argumentów przeciw wojnie, w szczególności przeciw wojnie atomowej i równocześnie za rozbrojeniem, należą te argumenty, które mówią, jakie koszty w całym świecie i w poszczególnych krajach pociągają za sobą zbrojenia i przygotowania do wojny z równoczesnym wykazywaniem, co można by za te pieniądze zdziałać w dziedzinie pokojowej. Jest coś żenującego w tym, że dzisiejszemu człowiekowi, który przecież szczyci się swoim rozwojem i cywilizacją, trzeba w tak prymitywny sposób wyjaśniać bezsens i nieetyczność wojny, że trzeba sięgać do tak prostackiego argumentu — „nie opłaci się", korzystniej będzie, jeśli budżet przeznaczony na sprawy wojskowe przeznaczy się dla celów pokojowych, dla dobra człowieka. Przecież tych największych dóbr, którymi są: człowiek, jego życie, zdrowie, jego praca, dzieła kultury, nie da się przeliczyć ani na dolary, ani na funty szterlingi, ani na ruble, ani na złote.

Właściwie jedyną prawdziwie moralną płaszczyzną, na jakiej powinno się rozpatrywać zagadnienie wojny i pokoju, jest płaszczyzna etyczna. Jeśli prowadzenie wojny w ogóle, a wojny atomowej w szczególności, byłoby etyczne, nic nie usprawiedliwiałoby powstrzymania się od wojny, gdyby ona była potrzebna. Jeśli zaś prowadzenie wojny jest nieetyczne, to nic, żaden cel, nie usprawiedliwia wszczynania jej i dążenia do niej.

Jeśli jednak wspomniana „rzeczowość" jest pożyteczna, to dlatego, że pomaga w wykazaniu, jak wielkim złem jest wojna pod każdym względem: i moralnym, i kulturalnym, i materialnym.

Mamy za sobą bardzo dramatyczne momenty w dziejach powojennego świata. Egipt, Berlin, Kuba, Węgry, Korea. Kongo, ostatnio Wietnam i Dominikana, ponadto wrzenie i przewroty w wielu krajach, konflikty graniczne na mniejszą lub wręcz małą skalę: chińsko-indyjski, indyjsko-pakistański, izralesko-arabski i ileż to innych jeszcze. Każdy z tych konfliktów oznacza nie tylko groźbę straszliwego kataklizmu na miarę światową, ale — ofiary w ludziach, cierpienie człowieka. Wszędzie, gdzie teraz padają strzały, gdzie słychać huk bomb, tam cierpi człowiek. Nie wolno nam egoistycznie myśleć: co mnie obchodzi jakiś tam daleki kraj, aby tylko u nas był pokój. Tak jak my cierpieliśmy podczas wojny u nas, odczuwajmy dziś cierpienie tych, którzy teraz są doświadczani. I nie gódźmy się z tym, że istnieje jeszcze wojna, jako sposób regulowania sporów międzynarodowych, czy politycznych, lub jako sposób rozszerzania wpływów.

Mamy za sobą także narady, konferencje, negocjacje międzynarodowe w sprawie rozbrojenia, energii atomowej, pokoju, nieraz zrywane, a potem znowu ponawiane. Mamy cały szereg stałych konferencji, które przerodziły się w międzynarodowe ruchy, dążące do zlikwidowania wojen i ich przyczyn, a także do zapobieżenia użyciu broni atomowej w doświadczeniach i wojnie. Mamy za sobą okres niepokojących doświadczeń z bombą atomową, ale mamy także Układ Moskiewski sprzed 2 lat.

I wobec tego — co dalej?

Data 6 sierpnia i 20-lecie zrzucenia bomby na Hiroszimę przypominają nam z nową siłą, że nie wolno ustawać w działaniach zmierzających do utrwalenia pokoju na całym świecie, że nie wolno dawać poparcia dla żadnej ingerencji w sprawy innego państwa. Jednocześnie fakt, że mimo tak tragicznych konfliktów, jakich świadkami byliśmy w dziejach powojennych, nie doszło do wojny na skalę ogólnoświatową, wskazuje m. in. na to, że „władcy" muszą się liczyć z opinią publiczną. Ruchy społeczne na rzecz pokoju muszą się jeszcze bardziej wzmóc. Mają one już pewną moc — są dość silne, aby się z nimi liczono, ale jednocześnie są zbyt słabe, aby mogły powstrzymać „awanturniczych" polityków od tragicznych decyzji i kroków.

Bomba atomowa zrzucona na Hiroszimę i Nagasaki dotknęła najbardziej i bezpośrednio oczywiście Japonię i Japończyków. Ale pośrednio dotknęła cały świat. Dlatego cały świat musi wziąć udział w tworzeniu przyszłości bez szaleństwa wojen. Wołanie o świat bez wojen musi stać się tak donośne, aby było słyszane zawsze i wszędzie.

Świat zda się być w „ślepym zaułku". Ale musi on znaleźć pokojowe wyjście z tego zaułka.

W dniu 6 sierpnia wołamy: No more Hiroshima! Nigdy więcej Hiroszimy! Ale nie tylko — chcemy powiedzieć również: Wojna to szaleństwo! Wojna to zbrodnia! Pragniemy przyszłości świata bez wojen!

*ks. ZDZISŁAW TRANDA*

# S A N D A Ł Y

*Kimijo Tanaka i Isamu Yamamoto*
*w 18 lat po zrzuceniu bomby na Hiroszimę,*
*chorzy na chorobę popromienną,*
*popełnili samobójstwo.*

*
* *

*W dniu szóstym sierpnia*
*tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego*
*roku*
*oczy Kimijo*
*oczy Kimijo*
*patrzyły jeszcze w miłość.*
*Tego samego dnia*
*tego samego roku*
*tak samo*
*patrzyły oczy Isamu.*

*Daleko pękały pancerniki.*
*Nawet Fudżi-san spał.*
*I tylko monsun*
*rozczesywał włosy oceanu —*
*wiał.*
*Kimijo sypała ryż*
*do miseczek pustych i głodnych*
*Isamu strugał sandały*
*na drogę bogów i ludzi*
*na drogę wielkich i małych.*

*Kimijo sypała ryż*
*najcenniejszą ofiarę.*
*Isamu strugał sandały*
*lekkie jak z dzieł Utamaro.*
*Kimijo sypała ryż*
*strugał sandały Isamu*
*i wtedy*
*w samo południe*
*czas się zatrzymał*
*stanął.*
*Na autostradach Stanów*
*buczały czarne motory*
*wbijały w słońca reflektor*
*śliski wilgotny blask.*
*W lesie dzięcioł gdzieś stukał*
*w drzewa zmurszałe i chore.*
*Słowiki tęskniły do gwiazd.*
*Daleko na kontynencie*
*dziewczyny*
*dzbany miłości*
*schylone nad swym odbiciem*
*patrzyły w wodę i w oczy*
*oczekujące nas.*

*Daleko na kontynencie*
*tramwaj skrzypiał zawzięcie*
*i tylko tu*
*w Hiroszimie*
*i tylko tu*
*stanął czas.*

*Na taflach murów stopionych*
*zmienionych na katafalki*
*cienie rozkrzyżowane*
*w krzyk*
*w krzyk którym nigdy nie przerwał*
*gardła rozpaczy ostatniej*
*z osiemdziesięciu tysięcy*
*nikt.*

*Kimijo była daleko*
*Isamu też był daleko*
*Isamu strugał sandały*
*Kimijo sypała ryż.*
*Isamu strugał sandały*
*dla wszystkich ocalałych*
*Kimijo przesypywała*
*białe ziarenka dni.*
*I tylko usta im drżały*
*kiedy patrzyli na czarny*
*wiecznozielony dąb*
*I tylko ręce im drżały*
*w gnijących cyprysach i tujach*
*dar „baby bomb".*

*Promiennej „baby bomb",*
*Oczy Kimijo*
*Oczy Kimijo*
*już nie patrzyły w miłość.*
*Już nie patrzyły tak samo*
*Oczy Isamu*
*Oczy Isamu.*

*W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym*
*trzecim*
*przeciągły gwizd*
*przeciął serce Kimijo.*
*Bezbarwny dym*
*rozerwał serce Isamu.*

*U stóp ostatniej skały*
*dwa*
*rozpadające się*
*sandały.*

*ROMAN SADOWSKI*

*RAFAŁ CZERNIŁŁOWICZ*

# Szukamy ludzi

Zbyszko Bednorz zastanawiał się kiedyś na łamach „Słowa Powszechnego" nad tym, „czy ta Mała nadaje się do filmu?" Ta „Mała" to studentka z prawdziwego zdarzenia, która przyszyje koledze guzik do płaszcza, uśmiechem stłumi awanturę na korytarzu „akademika", do „chaty wuja Toma" nie chodzi, nie pozwala na koleżeńskie trzymanie łapy na karku ani w pasie, nie uczestniczy w powszechnym rechotaniu po tłustych kawałach Jura i co dzień prowadzi do kościoła na wieczorną Mszę św. pewną sparaliżowaną kobietę i razem z nieszczęśliwą przyjmuje Komunię św. Nie chcę przesądzać sprawy, czy ta „Mała" istotnie nadaje się do filmu. Może po „Matce Joannie" i po „Drewnianym różańcu", dla kontrastu i dla zachowania sprawiedliwego umiaru, raczej tak, żeby widz uwierzył, że „obok mątwy, żmii, buldoga i wszelkiego gryzonia są też na świecie pośród ludzi zwyczajni ... święci".

Bednorz twierdzi, że nasze czasy mają ogólne zapotrzebowanie społeczne na świętych i na „wielmożów prawości", i że co dzień, co epoka, co miasto, powtarza się także ... świętość. Tu z pisarzem katolickim rozchodzimy się już zupełnie. Jemu potrzebni są święci, a my szukamy ludzi.

Wśród katolickich świętych, tych prawdziwych i kanonizowanych, nie brak istotnie wielu postaci pięknych, szlachetnych, dobrych i ludzkich, i zapewne ci „wczorajsi święci powinni mieć w nas dziś swoje życie". Katolicki św. Augustyn, św. Franciszek z Asyżu czy nawet św. Teresa od Dzieciątka Jezus nawet w protestanckim sercu mogą wywołać cieplejsze uczucia. Lecz w galerii świętych przeważają postacie, w których „świętość" niemal doszczętnie zabiła wszystko, co ludzkie. Dla ilustracji tej tezy wybierzmy z galerii świętych katolickich postać bynajmniej nie najstraszniejszą, św. Karola Borromeusza (1538—1584).

Carlo Borromeo pochodził z górnowłoskiej patrycjuszowskiej rodziny. W 12 roku życia otrzymał w tajemnicy (!) tonsurę i beneficjum kościelne, którego dochody przeznaczył na cele filantropijne. W 1559 r., a więc w 21 roku jego życia, wuj, papież Paweł IV (1555—1565, Giovanni Pietro Caraffa), mianuje go jednocześnie arcybiskupem Mediolanu, kardynałem i sekretarzem stanu. Czyn bliskiego śmierci starca jest zrozumiały. Jako człowiek i jako papież ulegał wpływom zdolnego siostrzeńca, będąc w jego rękach tylko figurą. W czasie drugiej kadencji soboru trydenckiego młody, zdolny siostrzeniec podsuwa staremu wujowi myśli i wskazówki, jak rządzić Kościołem i jak kierować soborem, żeby nie wymknął się — jak to się zdarzało w przeszłości — z rąk papieża.

Karol Borromeusz jeszcze za życia wuja udaje się do swej diecezji w Mediolanie i zaprowadza w niej nowe porządki. Chce mieć diecezję wzorową i wolną od jakiejkolwiek herezji, przenikającej z sąsiedniej Szwajcarii. W tym celu zakłada specjalne seminarium Helveticum, które ma wychować i przygotować kadry zdolnych bojowników z protestantyzmem. Za jego przykładem rodzą się w Rzymie jak grzyby po deszczu specjalne seminaria „narodowe", które przetrwały do dziś i „chwalebnie" spełniają swoje zadania wśród „braci odłączonych".

Po nagłej śmierci jedynego brata Federigo (1562), rodzina, nie zwracając uwagi na wysokie godności kościelne syna, domaga się od niego, aby dla zachowania rodu ożenił się, bo przecież święcenia kapłańskie przyjął w tajemnicy. Borromeusz nie usłuchał grzesznych podszeptów rodziny i pozostał wierny swemu kapłańskiemu powołaniu, które pełni wiernie i gorliwie. Podczas szalejącej w 1576 r. zarazy nie ucieka z miasta i zachowuje się jak prawdziwy bohater wiary. W 1610 r. papież Paweł V kanonizuje Borromeusza i wynosi go na ołtarze świątyń.

Tak wyglądają na zewnątrz koleje życia św. Karola Borromeusza. Na pierwszy rzut oka nie ma w nich nic takiego, co potwierdzałoby naszą tezę. Ale przypatrzmy się im bliżej, a spostrzeżemy, że życie tego świętego jest wiernym obrazem sposobów i metod wprowadzania w życie uchwał soboru trydenckiego. Za życia wuja był ich autorem i twórcą, a po jego śmierci ich realizatorem za pośrednictwem nowego papieża, Pawła IV (1566—1572), którego udało mu się zręczną polityką osadzić na stolcu Piotrowym.

Nowy papież był człowiekiem bardzo łagodnym. Miał tylko jedną wadę. Przed wyniesieniem na tron papieski nazywał się Michele Ghiseli. Jego przyjaciele nadali mu przezwisko Fra Michele dell' Inquisizione. Otóż ten łagodny człowiek był srogim inkwizytorem. On potrafił przekonywająco zachęcić regentkę francuską, Katarzynę Medycejską, do krwawych wystąpień przeciwko hugonotom, on to podniecał króla hiszpańskiego Filipa II i jego satrapę, księcia Albę, do krwawych ekscesów w Holandii, on to obłożył klątwą detronizacyjną królową angielską Elżbietę za to, że nie chciała poddać się polityce prorzymskiej.

Już te nieludzkie wyczyny (a było ich więcej!), których pośrednim inicjatorem był św. Karol Borromeusz, rzucają na tego świętego dziwne światło. Inny katolicki święty (kanonizowany w 1622 r.), Filippo Neri (1515—1595), założyciel Oratorianów i spowiednik papieża Sykstusa V, nazywa go „złodziejem dusz". Miał to być oczywiście tytuł zaszczytny. Lecz przypomnijmy sobie jeszcze innego świętego, i to również z kategorii nie tych „najgorszych".

„Nikt nie może uznawać Chrystusa i żyć w społeczności

triumfującego Kościoła, gdyby nawet chciał, jeżeli nie poddaje się papieżowi i nie stoi po stronie Kościoła walczącego. Najwyższy arcykapłan nie może się mylić nie tylko w sprawach wiary, ale nawet w przepisach moralnych, przedkładanych całemu Kościołowi, a odnoszących się do spraw niezbędnych dla zbawienia, albo dotyczących tych spraw, które ze swej natury są albo dobre, albo złe.. Gdyby papież nawet błądził, zalecając występki a zakazując cnót, Kościół musi wierzyć, że występki te są dobre a owe cnoty złe, jeżeli nie chce grzeszyć przeciwko sumieniu".

Takie i tym podobne zdania czytamy w dziele „Disputationes de controversiis christianae fidei adversus huius temporis haereticos". A dzieło to napisał i wydał w 1587 r. jezuita, kardynał i późniejszy święty, Robert Bellarmin (1542—1621), siostrzeniec papieża Marcelego II (Cervino). Dzieło Bellarmina, wydane w 20 lat po soborze trydenckim, nakreśliło kierunek, w jakim powinien zmierzać Kościół rzymskokatolicki, i w jakim istotnie szedł aż do czasów Jana XXIII.

Lecz w Kościele rzymskokatolickim byli nie tylko święci, zdarzali się w nim również i ludzie. A o jednym z nich teraz sobie powiemy.

Na początku XVII wieku potęga i bogactwo sławnej republiki Weneckiej należały już do chwalebnej, ale bezpowrotnej przeszłości. Zdarzyło się, że dwaj klerycy w tym mieście dopuścili się czynów, za które mieli odpowiadać przed świeckim sądem. Rada miejska wydała ponadto dwa rozporządzenia, które sprzeciwiały się najwyraźniej zasadom prawa kanonicznego. Jedno zakazywało zakładania na terenie republiki Weneckiej nowych klasztorów, drugie nakazywało władzom kościelnym uzyskanie uprzedniej zgody władz republiki na nabycie, drogą kupna czy darowizny, nieruchomości. Rozporządzenia jak na owe czasy bardzo śmiałe. Kiedy perswazje i pouczenia pasterskie nie pomogły, niedawno obrany papież, Paweł V (1605—1621), rzucił na krnąbrne miasto interdykt.

W średniowieczu klątwa biskupia (a cóż dopiero papieska) była straszną bronią. Człowiek obłożony klątwą był istotą za życia pogrzebaną. O wiele straszliwszą bronią w rękach papieży była tzw. wielka klątwa albo interdykt, rzucany nie na ludzi, lecz na terytoria. Przed taką bronią nie mogła ostać się nawet największa potęga świata.

Takie właśnie straszliwe nieszczęście spadło na Wenecję za to, że chciała się rządzić swoimi prawami. Tym razem jednak interdykt nie odniósł skutku, nie tylko dlatego, że był bądź co bądź początek wieku XVII, ale dlatego, że w mieście żył nie tyle święty człowiek, ile rozumny i ludzki. Paolo Sarpi, prowincjał i generalny prokurator zakonu Serwitów, wystraszonym Wenecjanom udzielił prostej rady. Władza republiki Weneckiej pochodzi, jak każda władza, od Boga, i jako taką muszą ją uznawać wszyscy bez wyjątku poddani, nie wyłączając oczywiście obu kleryków. A co do interdyktu, to nie warto od wyroku papieskiego apelować do przyszłego soboru powszechnego, jak to chcieli zrazu uczynić dobrzy Wenecjanie. Byli bowiem już tacy papieże, którzy takie odwoływania uznali za herezję. Nie warto zatem dolewać oliwy do ognia. Lepiej będzie nie publikować interdyktu. A że w owym czasie nie było jeszcze radia i telewizji, dobry lud wenecki nie dowiedział się o interdykcie, a życie w mieście biegło normalnym torem.

Oczywiście faktu tego nie podobna było ukryć poza granicami Wenecji. Lecz i to miało swoją dobrą stronę. Mocarstwom europejskim nie w smak były władcze apetyty niedoświadczonego, dopiero co wybranego papieża. Ich sympatie były wyraźnie po stronie Wenecjan, którym niemieccy książęta protestanccy dawali niedwuznacznie do zrozumienia, że mogą obejść się bez papieża i żyć spokojnie jako protestanci.

Rada sympatycznego prowincjała okazała się pod każdym względem złota. Toteż Wenecjanie korzystali z niej w całej pełni: z miasta wypędzili wiecznie pokój zakłócających jezuitów, duchownym zabronili, pod groźbą ognia czyśćcowego i mąk piekielnych, pobierania od ludności datków na szpitale zakonne, słowem życie w katolickiej Wenecji mimo interdyktu papieskiego płynęło zupełnie normalnie. Owszem, sytuacja stawała się dla stolicy apostolskiej wyraźnie nieprzyjemna. Rzym zrazu nalegał, a potem już i błagał, żeby Wenecjanie poddali się interdyktowi przynajmniej przez 2—3 dni, ale Wenecjanie nie chcieli. Ostatecznie wdać się w to musiał król francuski. Za jego pośrednictwem doszło do „pojednania". Wenecjanie wydali obu kleryków, ale obu rozporządzeń nie odwołali i jezuitów z powrotem do miasta nie puścili. Niebawem też (w kwietniu 1607 r.) do Wenecji przybył nuncjusz papieski i „wszystko już było dobrze". Był to ostatni interdykt papieski. Ze sporu — jak widać — wyciągnęły błogosławioną w skutkach naukę obie strony. Tylko prowincjałowi Serwitów nie uszło to płazem. 5 października tegoż roku o mało nie stał się ofiarą sztyletu. Na to skąd wiał wiatr, wskazuje cel ucieczki niefortunnych zamachowców: teren państwa kościelnego. Karol Stürmer (Konzilien und ökumenische Kirchenversammlungen, Göttingen 1962, 307) powiada dowcipnie: „Sztylet to styl Kurii, ale szyderstwo Sarpiego dotknęło Kurię głębiej, niż stal morderców — jego".

Ów Sarpi sprawiał Rzymowi i później wiele nieprzyjemności, i to wcale nie ze złej woli. Nie był przecież ani protestantem, ani wolnomyślicielem. Był wiernym synem Kościoła, ale chciał być przy tym również uczciwym człowiekiem. W 1619 roku wydał w Londynie dzieło „Istoria del concilio Tridentino" oczywiście pod pseudo-

*(Dokończenie na str. 21)*

## Streszczenie pracy habilitacyjnej

# Próba chrześcijańskiej ireno

Dotychczas nie wyróżniano w teologii chrześcijańskiej dyscypliny, którą można by nazwać irenologią. Rozważania teologiczne na temat wojny i pokoju mieściły się w chrześcijańskich koncepcjach politycznych, prawnych i społecznych tudzież w etyce, brakło natomiast osobnego usystematyzowanego compendium chrześcijańskiej doktryny pokojowej. Teologia pojednawcza, znana pod nazwą irenika, uprawiana przez niektórych teologów głównie protestanckich XVI i XVII wieku, zajmowała się problemem zgody i jedności pomiędzy różnymi wyznaniami chrześcijańskimi, gładą, integralną częścią doświadczenia ludzkości staje się potężny międzynarodowy ruch w obronie pokoju. W kręgu chrześcijańskim zdecydowanym wyrazem tego ruchu jest Chrześcijańska Konferencja Pokojowa Praska działająca od 1958 r. Ruch praski, jednoczący Kościoły chrześcijańskie i znane grono teologów, wypracował w ciągu ostatnich lat swoistą chrześcijańską doktrynę pokojową. Doktryna ta nie mieści się już bez reszty w ramach tradycyjnych dyscyplin teologii. *Doktryna jest próbą chrześcijańskiej nauki o pokoju, chrześcijańskiej irenologii.* udział historyczne Kościoły reformacji, wolne społeczności protestanckie oraz Kościoły prawosławne. Udział partnera rzymskokatolickiego jest minimalny. Rzymscy katolicy uczestniczą w ruchu praskim personalnie bądź poprzez organizacje świeckie. Teologicznie myśl rzymskokatolicka w dorobku teoretycznym ruchu praskiego nie jest reprezentowana.

Aksjomatyka irenologiczna formułuje bardzo wyraźnie i jaskrawo następujące twierdzenia: 1) Wojna jest grzechem. 2) Pokój nie jest tylko nieobecnością wojny. 3) Dla chrześcijan pokojem jest Chrystus. 4) Pokój w znaczeniu ogólnym jest konsekwencją pokoju ludzkości z Bogiem. 5) Pokój jest antynomią nieprzyjaźni pomiędzy ludźmi. 6) Pokój jest normalnym stanem rzeczy i stosunków międzyludzkich, darowanym ludzkości przez Boga. 7) Pokój to wartość o charakterze humanistycznym. 8) Prawdziwy pokój jest wartością konkretną. 9) Pokój jest jednoznaczny z koegzystencją. 10) Nie ma pokoju bez jedności rodzaju ludzkiego. 11) Jedność ekumeniczna jest fundamentem chrześcijańskiego ruchu pokojowego praskiego. 12) Kościół ma być krzewicielem pokoju. 13) Działalność pokojowa chrześcijan wyrasta z pokuty. 14) Czynienie pokoju jest nieodłączne od zasady odpowiedzialności. 15) Czynienie pokoju jest sprawą decyzji wiary.

Irenologia posługuje się metodologią właściwą teologii systematycznej, czyni to jednak częstokroć w nowatorski, śmiały i bardzo płodny sposób. Co do stylu i języka, to irenologia przejmuje tradycje i upodobania uczestniczących w ruchu praskim szkół teologicznych i środowisk kościelnych; obserwujemy tu również wymienność w zakresie leksyki i stylistyki. Stopniowo wytwarza się swoisty styl i rygory

jej przedmiotem była pax ecclesiae a nie pax mundi. Ten rodzaj teologii otrzymał wprawdzie nazwę „teologii pokoju" lub „theologia irenica". Nazwę tę utrwalił w jednym ze swoich dzieł teolog ewangelicki Johann Christoph Koecher (1699—1772). W r. 1764 ogłosił on rozprawę z obszernym aneksem bibliograficznym pod tytułem: „Abbildung einer Friedenstheologie, oder Gottesgelahrheit, welche den Frieden in der Kirche erhält und befördert. Nebst einer Bibliotheca Theologiae Irenicae mit nützlichen Anmerckungen begleitet". Jena 1764. Jak wszakże sam tytuł wskazuje, przedmiotem tak pojętej teologii pokoju był pokój w Kościele. Ten rodzaj twórczości teologicznej określa się w naszym stuleciu chętniej jako teologię ekumeniczną. Irenika, teologia ireniczna, jest dziś nazwą historyczną, odnoszącą się do zamkniętego już, co najmniej w połowie XVIII w., okresu dziejów Kościoła i teologii.

W stuleciu bieżącym, które od czasów Hiroshimy stanęło wobec dramatycznej alternatywy: pokój bądź totalna za-

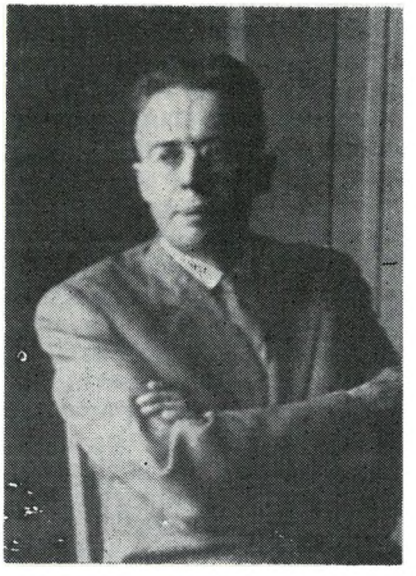

**WITOLD BENEDYKTOWICZ**

W rodowodzie teologicznym irenologii praskiej dadzą się wyróżnić następujące linie genealogiczne:
1) socjalizm religijny, 2) teologia praska spod znaku Hromádki, 3) teologia dialektyczna, 4) inspiracja teologii i empirii, prawosławia, w szczególności prawosławia rosyjskiego. Podział ten ilustruje jednocześnie układ sił w obrębie chrześcijańskiego ruchu pokojowego praskiego. Biorą w nim

semantyczne irenologii, tak iż można mówić o czymś w rodzaju „słownika praskiego". W oficjalnych dokumentach ruchu praskiego przeważa język niemiecki, równolegle stosuje się język angielski, francuski i rosyjski. Słownictwo irenologii jest inspirowane i determinowane przez języki filozofii egzystencjalistycznej, teologii dialektycznej, homiletyki zachodniochrześcijańskiej i cerkiewnej a także filozofii marksistowskiej. Niemniej nie ma tu jakiegoś „mixtum compositum", przeciwnie, sięganie do tych poszczególnych słowników jest celowe i pozwala na wyostrzenie semantyczne swoich wypowiedzeń.

Znamienna jest tu inwencja egzegetyczna dająca impulsy praskim na gruncie rozważań systematycznych. Rozważania o pokoju i wojnie nie zamykają się tylko na płaszczyźnie doktryny państwa, prawa i społeczeństwa, ale rzutują na specyficzne odczytywanie wątku teologicznego, chrystologicznego, antropologicznego, etycznego itd. Poziom roboty systematycznej gwarantują tu m. in. Józef L. Hromádka, Helmut Gollwitzer, Henrich Vogel, Hans J. Iwand, Wolfgang Schweitzer, Jan M. Lochman, Amadeo Molnar, Ladislaus Pákozdy i in. Znamienne jest teologizowanie problemów, które pozornie zdawałyby się być wyłącznie politycznymi. Dotyczy to np. zimnej wojny, zbrojeń atomowych, kolonializmu i neokolonializmu itd. Owa

# logii. Doświadczenia praskie

**RADA WYDZIAŁU I RECENZENCI**

do reinterpretacji podstawowych haseł słownika biblijnego, jak pokój, pojednanie, porządek, nieład, wojna itd., tudzież wzajemnych relacji pomiędzy pokojem a pojednaniem, wojną a grzechem, pokojem a ładem, wojną a nieporządkiem, królestwem Bożym a pokojem itd. Irenologia daje próbę pełnej reinterpretacji biblijnego zwiastowania pokoju.

Podobna inwencja i rozmach towarzyszą irenologom teologizacja jest nie tylko zabiegiem formalnym i metodologicznym, reprezentuje ona coś głębszego, mianowicie postawę osobistą, status confessionis zaangażowanie się czynne w sprawę a jednocześnie stanowisko teologiczne. Nie sposób nie dostrzec tu wpływu doświadczeń Kościoła wyznającego w Niemczech jak również założeń teologii dialektycznej.

Irenologia rozumie Boga wyłącznie jako Boga pokoju, a ewangelię łaski i zbawienia jako ewangelię pokoju. Ze zwiastowania o sądzie Bożym nad światem nie wolno wyciągać wniosków co do godziwości rozwiązywania ewentualnych konfliktów przy pomocy broni atomowej. Katastrofa atomowa byłaby sądem Bożym nie tyle nad światem, co nad chrześcijaństwem, które zatraciło jedność wiary i przestało być solą ziemi; byłby to sąd nad tymi, którzy się ważyli uprzedzić sąd Boży i podzielić ludzkość na owce i kozły, z ukrytą intencją wydania tych ostatnich na pastwę zniszczenia, jak twierdzi jeden z hierarchów rosyjskich.

Chrystocentryczne poznanie i rozumienie Boga jako Boga pokoju każe upatrywać w Jezusie Chrystusie „księcia pokoju", realizatora królestwa pokoju na Ziemi pod nowym Niebem. Prawdziwy pokój jest cząstką wszelkiego oczekiwania mesjanicznego; oczekiwanie to spełniło się z przyjęciem Zbawiciela i Mesjasza, z przyjściem Jezusa Chrystusa. On sam jest pokojem, a natura zbawczego czynu Bożego w Jezusie Chrystusie to również pokój. Słowo krzyża jest słowem pojednania i odpuszczenia, przeto sam krzyż jest pokojem. Ireniści z kręgu praskiego interpretują zbawczy czyn Boży w Chrystusie irenologicznie i vice-versa, problem pokoju i uspokojenia świata — interpretują soteriologicznie.

Wątek chrystologiczny w chrześcijańskiej praskiej doktrynie pokojowej jest całkowicie zdeterminowany przez teologie dialektyczna — ściślej — przez chrystologię Karola Bartha. Akcentuje się nie tylko solidarność Boga z ludzkością w Jezusie Chrystusie, ale Jego niemal identyczność z cierpiącym człowiekiem. Najjaskrawiej wypowiedziane to zostało przez prof. Vogla: co się stało człowiekowi obróconemu w

cień w Hiroshimie, to się stało i Bogu. W podobnym duchu brzmią analogiczne wypowiedzi Hromádki. Chrystologia irenologiczna zna wszakże Chrystusa nie tylko jako cierpiącego sługę Pana i ludzkości, ale tak samo jako triumfującego Boga i jako Pantokratora, rządzącego wszystkimi zakresami życia. Na temat oponenta Bożego — szatana, irenologia praska nie snuje osobnego wątku, jej demonologia streszcza się w tezie, że przede wszystkim wojna, szczególnie wojna atomowa jest rzeczą szatańską. Szatańska też jest doktryna o nieuniknioności wojny.

Chrystus Pan i Chrystus Zbawca czyni swych wyznawców wolnymi. Jest to niezmiernie ważną komponentą czynienia pokoju. Chrystus uwalnia bowiem człowieka z więzów tych struktur i fenomenów, które prowadzą do wojny. Wolność jest tu pojmowana w sposób egzystencjalny, niemal sartrowski, z tym wszakże założeniem, że jest ona darem Bożym.

Wolność, tak samo jak u egzystencjonalistów, oznacza odpowiedzialność. Człowiek jest istotą odpowiedzialną — twierdzi antropologia praskiej doktryny pokojowej. Odpowiedzialność jest kategorią istnienia człowieka; odpowiedzialność w istnieniu i za istnienie ma charakter responsoryczny wobec Stworzyciela. Z drugiej strony — istnienie człowieka jest istnieniem grzechu, jest pełne mizérii. Rozważania antropologiczne splatają się tu ściśle z rozważaniami hamartologicznymi. Egzystencja w grzechu jest egzystencją piekielną. Największy przeto nieprzyjaciel ludzkości — grzech — może być przezwyciężony tylko dzięki mocy Jezusa Chrystusa. W empirii ludzkiej przezwyciężenie grzechu zaczyna się i dokonywa się przez pokutę. Pokuta zaś jest związana ściśle z zasadą odpowiedzialności.

Z antropologią obcuje socjologia. Człowiek nie istnieje sam, lecz w zbiorowości. Podstawową kategorią istnienia społecznego człowieka jest koegzystencja. Koegzystencja wyraża się w solidarności. Chrześcijanie, jak ich Mistrz, są solidarni z całą ludzkością. Naśladowanie Mistrza, imitatio Christi, jest realizowaniem solidarności ze wszystkimi ludźmi. Ma to znaczenie pokojotwórcze, irenopojetyczne. Solidarność pozwala dostrzec jedność ludzkości i vice-versa, jedność ludzkości implikuje solidarność. Irenologia praska nie zna podziału ludzkości na dobrych i złych, tak samo nie chce uznać podziału świata na dobry, chrześcijański z tradycji i wolny Zachód oraz na zły, socjalistyczny resp. komunistyczny i tyrański Wschód. Wprowadzenie takiego podziału ma korzenie manichejskie Ludzkość stanowi jedność a jedność ta jest natury chrystogenicznej. Jedność i solidarność rodzaju ludzkiego są pewnymi aspektami koegzystencji, którą irenologia rozumie jako proegzystencję.

W szczegółowych twierdzeniach socjologicznych irenologii praskiej spotykamy się z surową krytyką tzw. chrześcijańskiej cywilizacji i kultury i tzw. chrześcijańskiego ustroju społecznego. Krytykę tę reprezentuje szczególnie Hromádka i jego uczniowie a także inni protestanccy teologowie spod znaku teologii dialektycznej. Znamienne, że w tej krytyce tezy prawosławne współbrzmią z tezami protestanckimi. Chrześcijaństwo jest odpowiedzialne za przeszłość. Świat chrześcijański jest odpowiedzialny za dwie ostatnie wojny światowe, ponosi odpowiedzialność za Hiroshimę. W niechęci i krytyce względem tak zwanych chrześcijańskich form ustrojowych, kultury, cywilizacji i tradycji chrześcijańskich z imienia, irenologowie zbliżają się do marksistów. Prof. Emil Fuchs rozumie marksizm jako wyzwanie chrześcijaństwa i pragnie w nim widzieć bardzo bezwzględny sposób, w jaki Bóg odsyła swych wiernych do swego Słowa ucieleśnionego w Jezusie Chrystusie. W obrębie myślenia irenologicznego nie ma miejsca na tradycyjny spór marksizmu z chrystianizmem.

Eklezjologia, która w całym niemal chrześcijaństwie przeżywa swą reinterpretację (Sobór Watykański II, konferencje Światowej Rady Kościołów), ma w swoim ujęciu irenologicznym rys przede wszystkim ekumeniczny. Wewnętrzna jedność chrześcijan nie ulega wątpliwości; równolegle występuje świadomość różnic historycznych, kościelnoustrojowych, tradycyjnych, narodowych itd., które wszakże nie naruszają istoty jedności chrześcijańskiej. Kościół chrześcijański ma być solidarny z całą ludzkością na wzór swego Pana, Jezusa Chrystusa. Powołaniem Kościoła jest służba dla świata. Niezwykle doniosła jest tu służba pokoju. Kościół, krytyczny wobec zastanych struktur społecznych, nie ma w świecie wygodnej, zasiedziałej pozycji, znajduje się on w marszu, stanowi communio viatorum. To hromadkowskie rozumienie Kościoła jest dość szeroko przyjęte w kręgu pokojowym praskim. Takie rozumienie Kościoła umożliwia consensus z prawosławnymi, gdzie eklezjologia zorientowana jest eschatologicznie. Świadomość eklezjologiczna irenologów praskich karmi się również doświadczeniami Kościoła wyznającego z okresu walki kościelnej w III Rzeszy.

W zakresie rozważań etycznych, widzimy w irenologii zdecydowane rozprawienie się z tradycyjną chrześcijańską doktryną wojny i pokoju, w jej sformułowaniu bellum iustum. Wojna jest grzechem — to jeden z podstawowych aksjomatów irenologii praskiej, która powtarza poprzednią kwalifikację fenomenu wojny; już bowiem w Amsterdamie (1948 r.) Światowa Rada Kościołów określiła wojnę jako przeciwną woli Bożej. W tej uproszczonej postaci powiedziano wiele, ale nie aż tyle, by problem rozwiązać. W dotychczasowym dorobku praskim brak np. jeszcze ustosunkowania się do wojen wyzwoleńczych, choć nie ulega wątpliwości, że sympatia ludzi uczestniczących w chrześcijańskim ruchu pokojowym

jest po stronie tych, którzy jeszcze muszą walczyć orężnie o swą wolność i niezależność (południowy Wietnam, Angola itd.). Etyka irenologiczna próbuje więc analizować i oceniać motory wszelkich wojen i środków zapobiegawczych. Etyka ta rozumie, że nie jest jej zadaniem rozwijanie własnej teorii związku państwa i wojny, lecz że zadaniem tym jest scharakteryzowanie wojny ze stanowiska ewangelii i odmówienie jej wszelkiego usprawiedliwienia jako rzeczywistości, w której wszystkie przykazania Boże padają ofiarą zdrady.

Doktryna bellum iustum jest nie do utrzymania, szczególnie w świetle możliwości wojny atomowej. Zresztą i w przeszłości doktryna ta okazywała swoje bankructwo; od czasów Konstantyna Wielkiego tylko nieznaczna ilość wojen odpowiadała jedynie z grubsza zasadom wojny sprawiedliwej, natomiast większość stanowiły zamaskowane mordercze, grabieżcze wojny, z najgorszymi konsekwencjami.

Etyka irenologiczna wysuwa szereg postulatów, które najwyraźniej zarysowują się w konkretyzacjach. Chrześcijański ruch pokojowy, rozumiejąc siebie jako funkcję Kościoła w świecie, poszukuje konkretyzacji zasad chrześcijańskich. Stąd w irenologii spotykamy się z próbą aplikacji tych zasad do konkretnych problemów politycznych, społecznych, gospodarczych, kulturowych, technicznych, militarnych itd. W doktrynie praskiej wypracowany został swoisty leksykon tych problemów. Zasługują na zacytowanie m. in. następujące problemy: nadużycie chrześcijaństwa, koegzystencja, rasizm, kolonializm, neokolonializm, klęska głodu, imperializm, demokracja, militaryzm, służba wojskowa, zbrojenia, bronie konwencjonalne i bronie atomowe, propaganda, zimna wojna. Do tego samego leksykonu należą niektóre problemy regionalne, jak problem Niemiec, prawo Chin Ludowych do reprezentacji w ONZ, Kuba, Cypr itd.

Dorobek teoretyczny Crześcijańskiej Praskiej Konferencji Pokojowej da się określić jako próba irenologii chrześcijańskiej, obejmująca rewizję dawnych poglądów na ten temat oraz wypracowanie nowego kompendium wiedzy teologicznej, która niewątpliwie zasługuje na określenie teologii pokoju.

# Szukamy ludzi

*(Dokończenie ze str. 17)*

nimem, utworzonym z liter własnego nazwiska (Paolo Sarpi Veneto — Pietro Soave Polano). Świetne dzieło. Niemcy jeszcze w 1844 r. wydali je w drugim nakładzie. Autor wykorzystał w nim nie znane dotąd materiały z archiwów Serwitów i republiki Weneckiej. O tym, w jakim duchu zostało ono napisane, łatwo wyrobić sobie zdanie z podtytułu: „Obraz sztuczek rzymskiego dworu, używanych dla uniemożliwienia ujawnienia jedności nauki, albo reforma papiestwa i Kościoła".

O co chodziło Sarpiemu? O walkę z Kościołem i z wiarą? Bynajmniej. Grubo na 300 lat przed dzisiejszym „rzymskim ekumenizmem" chciał umożliwić protestantom powrót do Kościoła, ale z rozpaczą stwierdzał, że sam Kościół im tego broni. Protestanci lgną do augustianizmu, ale jego grobem stał się Trydent, a grób wykopały sfery rzymsko-jezuickie.

Dzieło Sarpiego wywołało w swoim czasie żywy odgłos. W ciągu dziesięciu lat pojawiło się w przekładzie łacińskim, niemieckim, francuskim i angielskim. Spędzało sen z powiek jezuitom. Na ich polecenie Sforza Pallavivino pisze w 1656 r. konkurencyjne dzieło: „Istoria del Concilio di Trento", które miało zaćmić i zdusić pracę Sarpiego. Okazało się jednak, że autor, jakkolwiek mógł korzystać z niedostępnych Sarpiemu źródeł, dopuścił się w swym dziele 361 fałszerstw.

Po tych historycznych ekskursach wróćmy do rzeczywistości, do Bednorzowej „Małej". Teraz już z całą pewnością możemy powiedzieć, że nadaje się ona do filmu, ale ... bez aureoli świętości. Świat dzisiejszy bowiem obchodzi się już bez „świętych", ale potrzebuje ludzi. Szkoda, wielka szkoda, że człowiek Jan XXIII był w dziejach Kościoła rzymskokatolickiego tylko krótkim epizodem.

Dziś cały świat uczciwy protestuje przeciwko polityce Bonn, zmierzającej do przedawnienia hitlerowskich zbrodni przeciwko ludzkości. Zbrodnia bowiem zawsze pozostanie zbrodnią. Nie zgładzi jej ani czas, ani nie usprawiedliwią intencje. Pomóc może tylko ekspiacja.

Czy wyczyny św. Inkwizycji w Hiszpanii i gdzie indziej, krwawe łaźnie Alby w Holandii, rzeź hugonotów w nocy św. Bartłomieja itd., nie były zwykłymi zbrodniami przeciwko ludzkości? Czy uległy już przedawnieniu? Czy usprawiedliwić może je intencja „zbawienia dusz" ludzkich?

„Kto z was bez winy, niech pierwszy rzuci na nią kamieniem" — powiedział Chrystus pod adresem sędziów ewangelicznej jawnogrzesznicy. Pewnie. I my nie mamy prawa nikogo kamionować, bo sami nie jesteśmy bez winy. Chociażby ten Servet!

Istotnie, jest tu Servet, ale jest i pewna różnica. Kalwin nie był „świętym" a my, spadkobiercy jego spuścizny, nie uznajemy kultu świętych. Kalwińska Genewa postawiła Servetowi ekspiacyjny pomnik. Gdyby tak Kościół rzymski postawił choćby zgoła maleńki pomnik umęczonym przez niego wyznawcom Ewangelii Chrystusowej, miałoby to zgoła inną wymowę i byłoby skuteczniejsze od tanich słów o chrześcijańskiej miłości do „odłączonych braci". A tak stoją nam przed oczami „święci" Borromeusze, Bellarminowie, Loyolowie, Liguorowie i zasłaniają zwykłych ludzi, Sarpich, Janów XXIII i tę Bednorzową „Małą". Bo my szukamy ludzi, nie świętych.

Dnia 6 lipca mija 550 lat od chwili, gdy w mieście Konstancji nad jeziorem Bodeńskim w Niemczech południowych, spalony został na stosie, na mocy uchwały Soboru Powszechnego, jeden z poprzedników Reformacji, wielki propagator idei reformacyjnych Wiklefa, czeski bohater narodowy — Jan Hus. Postać tego męża przysłonięta została przez wielkość jego następców w dziele reformy Kościoła chrześcijańskiego, którzy dopiero w 100 lat później, w innych sąsiadujących z Czechami krajach, w Niemczech i Szwajcarii, wystąpili i podjęte przez Waldusa, Wiklefa i Husa idee przemyśleli do końca i doprowadzili do pozytywnego rezultatu. Tym nie mniej Hus pozostanie wielką postacią tak ze względu na łączący się z jego imieniem ruch, który przez dziesiątki lat XVwieku był motorem życia religijnego w Europie środkowej, jak i ze względu na entuzjazm wiary, jaki cechował tego reformatora i jego zwolenników. Hus mimo niesłychanych udręk i męczarni nie zachwiał się i wolał obrać raczej śmierć męczeńską na stosie, niż zaprzeć się poznanej raz prawdy ewangelicznej. Toteż wśród ważnych rocznic, jakie Kościoły ewangelickie obchodzą celem przypomnienia sobie chlubnej przeszłości i celem umocnienia się w przywiązaniu do wiary przodków, stoi też obok innych rocznica męczeńskiej śmierci Jana Husa. Zwłaszcza zaś ewangelicy w Czechosłowacji przygotowują się do nadania tej rocznicy szczególnie uroczystego charakteru, wypada więc, abyśmy i my, ewangelicy polscy, jako najbliżsi ich bracia, przypomnieli sobie wybitną postać bohatera religijnego i narodowego, i starali się ocenić jego dzieło i wartość mocy jego wiary, stawiając sobie przed oczyma sytuację historyczną, na tle której szczególnego wyrazu nabiera to, co w dziejach Kościoła chrześcijańskiego oznacza nazwisko Husa.

Jan Hus. Rycina z Kancjonału Litomierzyckiego

## II.

Ostatnie dziesiątki lat XIV stulecia i pierwsze 15 lat stulecia XV to okres tzw. Wielkiej Schizmy Zachodniej (1378—1415), kiedy świat chrześcijański, poddany zwierzchnictwu duchownemu papieża rzymskiego, miał naraz dwóch papieży, a przez kilka lat nawet trzech, nawzajem się wyklinających i siejących zgorszenie i niepewność w sprawach wiary i moralności. Toteż nie dziw, że w tym stanie rzeczy powszechnym stało się hasło głoszone przez światłych mężów we wszystkich ośrodkach życia kościelno-religijnego i naukowego, hasło reform Kościoła „w głowie i w członkach". Hasło to mogło mieć, i miało istotnie dwa echa: reformy organizacyjnej, wyłącznie zewnętrzno-

550

kościelnej, i reformy religijnej, doktrynalnej. Dążenie do pierwszego rodzaju reformy wyszło ze sfer uniwersyteckich Paryża (d'Ailly i Gerson), reformą zaś religijną, doktrynalną, miał zamiar zająć się profesor teologii w Oxfordzie, Jan Wiklef. Na stolicy „namiestnika Chrystusowego" zasiadało wtedy dwóch ludzi — i dwie były stolice duchowe świata chrześcijańskiego: Rzym we Włoszech i Avignon we Francji. Kraje europejskie, pod względem kościelnym podlegały jedne papieżowi w Rzymie, drugie papieżowi awinionskiemu; niektóre były neutralne. Na ten okres przypada młodość, czasy studiów teologicznych i czas dojrzewania duchowego późniejszego reformatora Czech, Jana Husa. Urodzony około 1369 r. w południowo-czeskiej miejscowości Husiniec, w rodzinie ubogiej, rozpoczął w Pradze studium teologii, do którego, jak sam z pewną przesadą przyznaje w późniejszych pismach i kazaniach, skłoniły go nie tyle przekonania religijne i wewnętrzne powołanie, ile raczej perspektywa wygodnego życia w stanie duchownym. Bardzo utalentowany i zdolny, zyskuje rychło potrzebne stopnie naukowe i święcenia kapłańskie i pozostaje na praskim uniwersyte-

**Praga. Na pierwszym planie pomnik czeskiego reformatora.**

cie jako wykładowca filozofii i teologii. W r. 1402, gdy już był rektorem Wszechnicy, zapoznaje się przez przyjaciela swego Hieronima, który właśnie z Anglii do Czech powrócił, z dziełami teologicznymi Wiklefa i przejmuje się głęboko głoszonymi w nich zasadami ewangelicznymi, według których należałoby, jego zdaniem, zreformować życie kościelno-religijne.

Mianowany przez biskupa praskiego, Zbenka, kaznodzieją synodalnym, występuje w bardzo ostry sposób przeciwko zepsuciu duchowieństwa i gromkim głosem woła o reformę Kościoła. Cieszy się wielkim wzięciem u ludu i życzliwym poparciem dworu ówczesnego króla czeskiego, Wacława. Kler — zwłaszcza niemiecki w Czechach — dotknięty ostrym wystąpieniem Husa oskarża go przed wybranym przez Sobór Powszechny w Pizie (1409) trzecim równocześnie działającym papieżem, Aleksandrem V. Papież Aleksander V wystosowuje do Husa bullę, wzywającą go do zaprzestania krytyki. Bulla papieska pozostaje jednak bez echa, tak samo jak rzucona wkrótce potem na

# LAT

Husa i jego zwolenników klątwa, i wreszcie nawet interdykt na miasto Pragę. Ponieważ zwolennikami papieża byli przeważnie Niemcy, a Hus połączył swoje hasła reformacyjne z hasłami narodowymi czeskimi, wpływ jego wzrastał w Czechach coraz bardziej, sława jego imienia gromadziła wielkie masy ludu we wszystkich miejscach gdzie miał kazać — po wsiach czy nawet lasach, kiedy wskutek interdyktu rzuconego na Pragę, król czeski Wacław doradził Husowi usunięcie się na pewien czas ze stolicy. Czechy miały przez to w ówczesnej Europie złą sławę kraju heretyckiego. Toteż cesarz Niemiec, Zygmunt, młodszy brat Wacława i przyszły dziedzic jego korony królewskiej w Czechach, zainteresowany w tym, by przyszłe jego dziedzictwo oczyściło się z zarzutu kacerstwa, napierał na czynniki kościelne, aby zwołano Sobór Powszechny w celu dokonania reformy Kościoła oraz załatwienia niemiłej sprawy czeskiej „herezji". Sobór ten faktycznie zwołany został na dzień 1 listopada 1414 r. do Konstancji.

### III.

Hus otrzymał od cesarza Zygmunta list żelazny, gwarantujący mu bezpieczeństwo w drodze i bezpieczny powrót po załatwieniu sprawy. Trzej rycerze czescy: Jan i Henryk Chlumscy i Wacław z Dube mieli polecenie cesarskie, aby dbać o bezpieczeństwo Husa. Hus wyjechał z Pragi 11 października 1414 r. i przybył do Konstancji już 3 listopada, o wiele wcześniej niż jego cesarski protektor, który był „spiritus movens" soboru. Zamieszkał skromnie u pewnej wdowy, jak sam pisał do przyjaciół w Czechach, „jak Eliasz u wdowy w Sarepcie." Złe przeczucia, jakie miał mimo posiadania cesarskiego listu żelaznego i rycerskiej eskorty, i jakim dawał wyraz w gronie przyjaciół przy swoim wyjeździe z Pragi, nie omyliły go. Osobiści jego wrogowie jeszcze z gruntu praskiego, którzy również przybyli do Konstancji, rozpuścili wśród uczestników soboru nieprawdziwą wieść, że Hus zamierza z Konstancji uciec. Zanim cesarz Zygmunt — poręczyciel jego bezpieczeństwa — przyjechał do Konstancji, Hus został 28 listopada 1414 r. aresztowany i osadzony początkowo w mieszkaniu pewnego kanonika katedralnego, a w kilka dni później, 6 grudnia, w norze piwnicznej klasztoru dominikańskiego, tuż koło kloaki klasztornej. Czteromiesięczny pobyt w tej norze był powodem ciężkiej choroby nerek. W tym samym prawie czasie, bo 4 grudnia, papież Jan XXIII (którego historiografia katolicka wstydliwie wykreśla z listy papieży XV-wiecznych, czego wyrazem jest przyjęcie przez przedostatniego papieża imienia Jana i kolejniej liczby XXIII) powołał do życia „Komisję trzech" dla zbadania sprawy kacerstwa Husa. Komisja ta wyłoniła z pism i kazań Husa 43 zdania hertyckie. Los Husa był prawie przesą-

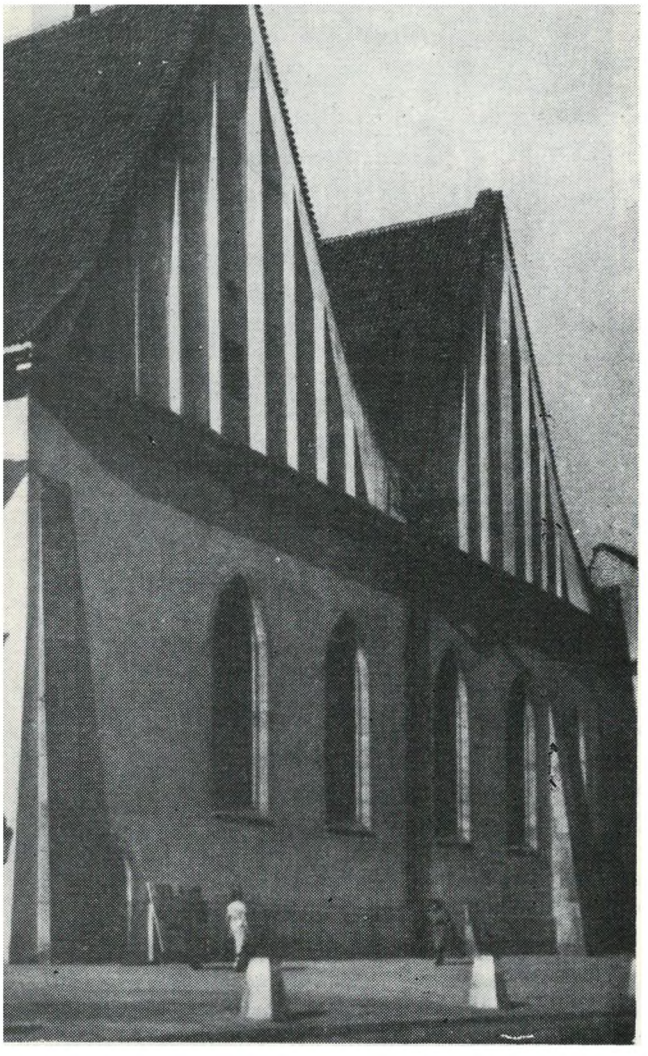

Kaplica Betlejemska

dzony, mimo zjawienia się cesarza, który — początkowo oburzony uwięzieniem Husa mimo listu żelaznego — później zrezygnował z żądania uwolnienia, gdy zagrożono, że członkowie soboru rozjadą się bez przeprowadzenia oczekiwanej przez Zygmunta reformy Kościoła. Sobór ten rozważał również sprawę zdetronizowania obecnego w Konstancji Jana XXIII, trzeciego równocześnie urzędującego papieża, ale ten potajemnie opuścił Konstancję (lecz i tak został później uwięziony), wobec tego mianowana przez niego „Komisja trzech" utraciła prawo prowadzenia dalszej sprawy Husa, a Hus z więźnia papieskiego został zdegradowany do roli więźnia biskupa konstancjeńskiego, który kazał go przewieść z Konstacji do pobliskiego Gottlieben. Dopiero na wiosnę 1415 r. przejmują sprawę Husa z ramienia Soboru 4 prałaci, między nimi kardynał Piotr d'Ailly, arcybiskup z Cambray. Komisja ta w dniu 4 maja 1415 r. wydała przede wszystkim wyrok skazujący Wiklefa. Nie można było sądzić Husa, zanim nie osądzono jego ojca duchowego. W miesiąc później, w celu przesłuchania, sprowadzono Husa z powrotem z jego więzienia w Gottlieben do Konstancji, do klasztoru franciszkańskiego. Miało to miejsce w dniach 5, 7 i 8 czerwca 1415 r. Zażądano od Husa odwołania 39 kacerskich zdań. Bronić mu się i udowodnić zgodność jego stanowiska z Biblią nie pozwolono. Ponieważ Hus stanowczo odmówił odwołania swych twierdzeń, przygotowano dnia 18 czerwca, w postaci szeregu artykułów, formułę skazania Husa na śmierć za kacerstwo. Dnia 24 czerwca potępiono i skazano na spalenie wszystkie jego dzieła.

Dniem śmierci Husa była sobota 6 lipca 1415 r. Na termin ten wyznaczono uroczystą sesję Soboru, mającą dokonać skazania niebezpiecznego kacerza. Po uroczystym nabożeństwie z sumą w katedrze, wprowadzono tam Husa. Przemówienie do zebranych uczestników Soboru wygłosił biskup z Lodi, obierając za temat przemówienia słowa z listu do Rzymian (6;6): „Niechaj zniweczone zostanie ciało grzechu". Z tego słowa apostolskiego wyprowadził mówca obowiązek wytępienia herezji. Hus próbował prostować sentencje niesprawiedliwego wyroku, ale go zakrzyczano. Ponieważ był duchownym, miano dokonać aktu degradacji. W tym celu najpierw ubrano go w uroczyste szaty liturgiczne, a następnie zdarto je z niego, a na głowę włożono mu papierową czapkę z napisem „herezjarcha". Jako zdegradowanego już i skazanego na śmierć kacerza, przekazano go „ramieniu świeckiemu" czyli cesarzowi, temu samemu, który poręczył jego bezpieczeństwo. Cesarz przekazał go Ludwikowi, hrabiemu Palatynu, ten zaś z kolei burmistrzowi miasta Konstancji, z nakazem, aby „postąpił z nim jak z kacerzem".

Tuż przed egzekucją jeszcze raz próbowano skusić Husa, aby odwołał swoje nauki, wzamian za co darowane mu będzie życie. Hus odpowiedział: „Bóg mi świadkiem, iż nigdy nie uczyłem nic innego, tylko prawdę Ewangelii, za którą chętnie i z radością umrę". Wobec tego zapalono stos. Żar płomieni stosu Husowego w Konstancji rozniecił wkrótce potem straszliwy pożar, który strawił niejedno miasto i osiedle w Czechach i w krajach okolicznych, w czasie prowadzonych z zaciekłością i okrucieństwem z obu stron wojen husyckich.

## IV.

Miastem śmierci Husa jest Konstancja, obecnie w Badenii, położona na północno-zachodnim krańcu jeziora Bodeńskiego, tam gdzie wypływa Ren. Miejscem pojmania Husa, wskutek pogłosek o zamierzonej jego ucieczce, w dniu 28 listopada 1414 r. jest dom przy dzisiejszej ulicy Husowej Nr 64. Na domu tym widnieje tablica pamiątkowa z podobizną Husa, wmurowana w ścianę w 1817 r. przez czeski komitet uczczenia Husa. Obok tego jest tablica stara z r. 1415 z wierszami wykpiwającymi reformatora. Pierwszym więzieniem był klasztor dominikański na małej wysepce, dziś przebu-

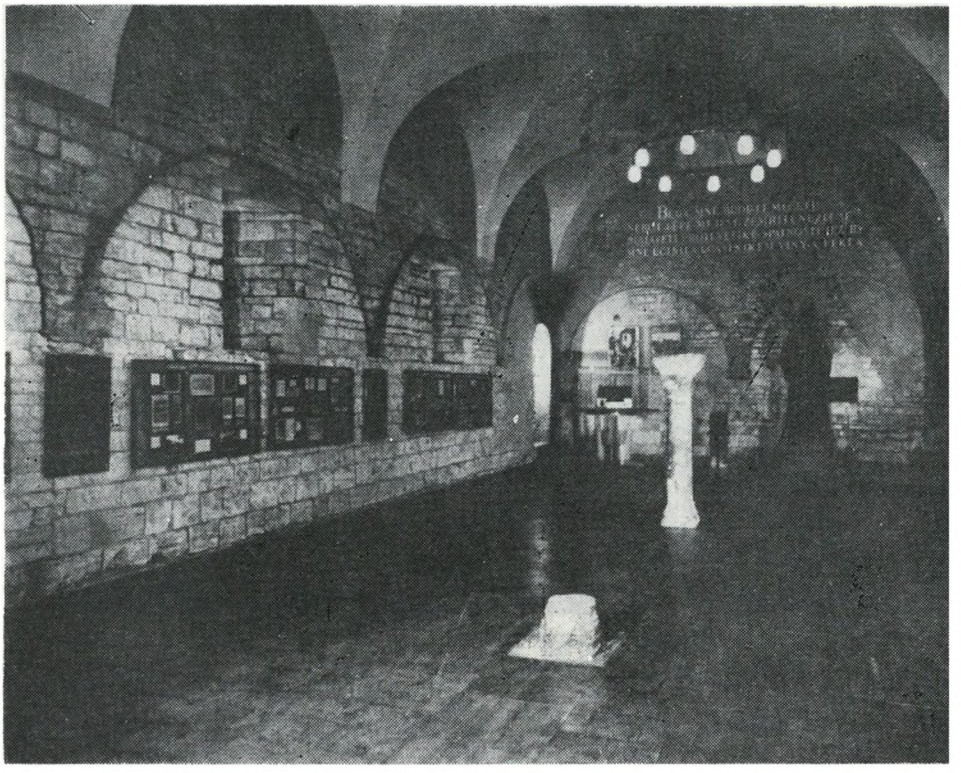

Sala Husa w Muzeum Piśmiennictwa Narodowego w Pradze

Ratusz staromiejski i Tyński Chram

dowany na hotel zwany Inselhotel. Tam Hus przesiedział 4 miesiące, od 6. XII. 1414 do 23. III. 1415. Tam też nabawił się ciężkiej choroby nerek. Miejscem skazania jest katedra, w 20 lat po śmierci Husa, w 1435 r. przebudowana i rozszerzona; w czasach Husa była to budowla w kształcie krzyża, w stylu romańskim. W nawie głównej, okolonej 16 kolumnami, jakieś 16 kroków od wejścia, znajduje się na posadzce biała plama w kształcie stopy ludzkiej. Legenda głosi, iż jest to odbicie stopy Husa, który w tym miejscu boso stał w chwili ogłoszenia wyroku. Na domniemanym miejscu spalenia Husa, a także i Hieronima z Pragi, którego egzekucja odbyła się w rok później, tzw. Brühl, 10 minut na zachód od starego miasta, umieszczony jest głaz skalny, tzw. kamień Husa.

Najlepiej, i w oryginalnej swej postaci, zachowała się cela więzienna Husa w Gottlieben, w miejscu gdzie Ren wpływa do jeziora Bodeńskiego (dolna, południowo-zachodnia jego część). Był tam zamek biskupa Konstancji — zamek, z którego zachowały się 2 stare wieże. W jednej z tych wież, połączonych z sobą odbudowanym przez Napoleona III pałacykiem, mieści się w samym szczycie cela więzienna Jana Husa, jakby duża skrzynia zbita z grubych desek: 2 m szeroka, 3 m długa i niecałe 2 m wysoka. W tym zupełnie ciemnym więzieniu spędził Hus 73 dni, w dzień związany łańcuchami, w nocy z rękami przykutymi do ściany. Nieco niżej od poziomu owej celi znajduje się izdebka, pełna szarf z wieńców składanych przy celi przez różne wycieczki, zwiedzające to smutne miejsce wymierzania przez ludzi sprawiedliwości w imieniu Boga. Naród czeski nie zdobył się na ten wysiłek finansowy,

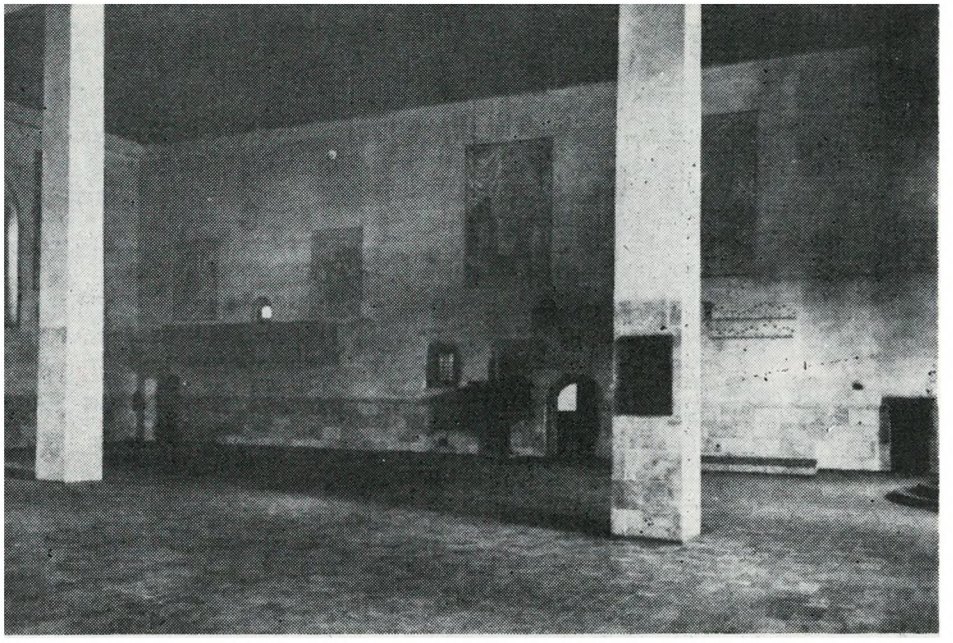

**Wnętrze Kaplicy Betlejemskiej**

by od dzisiejszych właścicieli wykupić to miejsce i urządzić tam Muzeum Husa, godne wielkiego imienia tego bohatera.

Zauważyć atoli trzeba, iż w tej samej wieży, w której jest cela więzienna Husa, siedział także jako więzień ten sam papież Jan XXIII, który kazał wszcząć przeciwko Husowi postępowanie procesowe o kacerstwo. O Janie XXIII — tym XV-wiecznym Janie XXIII — wiedzą dziś tylko historycy, i wiedzą przeważnie rzeczy niesławne. A imię Husa szeptane jest przez miłujących Prawdę Bożą z czcią, i takim — cześć wzbudzającym — pozostanie imię jego na zawsze.

Jan Hus należał do tych męczenników, którzy — zewnętrznie biorąc — mieliby z psychologicznego punktu widzenia prawo zwątpić w utrzymanie się podjętej sprawy, bo za nim nie stał jeszcze żaden front bojowy, z szeregiem gotowych do dalszego boju bohaterów. A jednak wytrwał i poszedł na stos. To dowód jak wielką była jego wiara w moc Ewangelii. Contra spem speravit!

Dlatego należy mu się cześć jako jednemu z wielkich w Królestwie Bożym!

*Ks. prof. dr*
*WIKTOR NIEMCZYK*

# Prawda przy łożu chorego

Ludzie, którzy pośrednio lub bezpośrednio mają do czynienia z ciężko chorym, stają wobec problemu: czy należy choremu powiedzieć pełną prawdę? Bezpośrednio dotyczy to lekarza i pielęgniarki, pośrednio duchownego, rodziny lub zaufanych przyjaciół, którzy zostali przez lekarzy poinformowani o stanie chorego. Nie ma na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi, której można by zawsze udzielić. Zależy bowiem ona od okoliczności i konkretnej sytuacji.

Mimo wszystko dla chrześcijanina istnieje jednak określona linia postępowania: chodzi o całą prawdę tak w życiu, jak i wobec śmierci. Jeśli lekarz i siostra zrozumieli podstawowe prawa ludzkiego bytu, wówczas nie może dla nich zaistnieć sytuacja, która nakazywałaby przy łożu chorego lub umierającego kłamać. Początkowa powściągliwość w udzielaniu odpowiedzi na pytania ciężko chorego nie jest kłamstwem, jeśli u podstaw jej leżą dążenia do stopniowego przygotowywania chorego do zrozumienia prawdziwego stanu zdrowia oraz dopomożenie mu w przyjęciu choroby, jako drogi i woli Bożej.

Nikt nie może z całą pewnością przewidzieć przebiegu ciężkiej choroby, a tym bardziej godziny śmierci. Jedynie Bóg może uczynić wielkie rzeczy i wszystko przeprowadzić zupełnie inaczej, niż my ludzie mniemamy. Jedno wszakże możemy zawsze — zwrócić uwagę chorego, jak i umierającego na światło wieczności. Chory tym chętniej przyjmuje tę myśl, im bardziej odczuwa, że i w naszym życiu wieczność posiada nieprzemijający blask.

Jeśli jesteśmy napełnieni szacunkiem dla drugiego człowieka, jako stworzenia Bożego, jeśli do chorego umiemy trafić z modlitwą i prośbą przyczynną, to wówczas Bóg wskaże także właściwe słowo we właściwą godzinę. Jakkolwiek by chory nie zareagował, gdy dowie się o swoim stanie, naszą powinnością jest towarzyszyć mu przez ciemną dolinę i nie opuścić go. Prawdzie przy łożu chorego musi towarzyszyć wielka miłość. Tylko wtedy można pomóc, a nie zaszkodzić, cierpiącej duszy ludzkiej. I o to powinniśmy zawsze się troszczyć, choć droga prawdy jest prosta.

*Tłum. ks. T. BRUELL*

# W OBRONIE POLSKIEJ KULTURY

Czasy niewoli porozbiorowej stały się dla całego narodu polskiego twardą próbą wykazania odporności ducha i poczucia silnej świadomości narodowej. Czasy te były ciężkie dla wszystkich Polaków: i tych spod zaboru rosyjskiego, i austriackiego i pruskiego. Walka narodowowyzwoleńcza (nie tylko orężna!) objęła swym zasięgiem cały kraj.

Tereny Śląska i Mazur stały się celem szczególnie silnej germanizacji. Zamieszkiwała je bowiem w większości polska ludność ewangelicka. Propaganda germanofilska starała się forsować hasło: co Polak, to katolik; co ewangelik, to Niemiec. Tym łatwiej się to udawało w aktualnej sytuacji politycznej: podbita, upadła katolicka Polska, zwycięskie i silne protestanckie Prusy. Polski Kościół ewangelicki znalazł się w trudnej i niemalże beznadziejnej sytuacji. Jednak polska ludność ewangelicka Mazur i Śląska, atakowana bez przerwy falą germanizmu, konkretyzującego się w postaci ustaw, zakazów i paragrafów prawa pruskiego, stawiła czoło akcji germanizacyjnej, mimo, że nie zawsze znajdowała właściwe zrozumienie i pomoc w tych ośrodkach, z których pomoc ta i zainteresowanie nadejść by mogły.

W takiej sytuacji tym cenniejsze i bardziej godne szacunku są poczynania polskich ewangelików Mazur i Śląska, walczących o swą przynależność narodową i państwową.

Ojcowie polskiej myśli ewangelickiej — najczęściej pastorzy i nauczyciele, dobrze pojmowali fakt, że poprzez utrzymanie i utrwalanie języka ojczystego, który stanowi siłę i skarb każdego narodu, przez podsycanie i rozwijanie kultury przodków, podtrzymać można ducha narodu dławionego przez niewolę i ucisk. Lud pozbawiony swej mowy, łatwiej traci więź i poczucie świadomości narodowej.

Wśród wielu nazwisk działaczy i propagatorów polskości na Śląsku i Mazurach, najświetniej błyszczą postacie **Mrongowiusza, Gizewiusza i Fiedlera.**

Pierwszy z nich, wielki miłośnik i badacz kaszubszczyzny, wybitny lingwista polski, uczeń Kanta, działał w Królewcu, gdzie był nauczycielem języka polskiego w szkole katedralnej, i w Gdańsku — w urzędzie polskiego pastora przy kościele św. Anny.

**Gizewiusz,** pastor polski w Ostródzie, niezmordowany obrońca praw i kultury ludu mazurskiego, a szczególnie szkoły polskiej. Zbierał pieśni, podania i zwyczaje ludowe, dając w ten sposób początek poważniejszym badaniom etnograficznym tego rejonu. Ze zbiorów jego korzystał później O. Kolberg. Gizewiusz był przyjacielem Mrongowiusza. Obaj przeprowadzili wiele wspólnych akcji w obronie uciemiężonego narodu, z których najbardziej znana dotyczy wspólnie opracowanego i przedłożonego osobiście przez Gizewiusza królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV, memoriału domagającego się prawnego uznania języka polskiego na Mazurach.

I wreszcie pastor **Robert Fiedler,** kaznodzieja polski w zborze ewangelickim w Międzyborzu, człowiek który z pewnością zasłużył sobie na miano obrońcy polskości na Śląsku. Podobnie jak i jego koledzy na północy — on na południu — zbierał pieśni dolnośląskie i zapisywał poezje ludowe. Zbiory te pozostawił w rękopisie. Fiedler opracował i w roku 1853 wydał śpiewnik kościelny, który ułożyli w XVII w. pastorzy wrocławscy i nazwali Kancjonałem doskonałym (później — Kancjonałem brzeskim). W roku 1844 we Wrocławiu wydał „Kazania na wszystkie święta roku kościelnego" i „Kazania przygodne" (1850). Oprócz artykułów drukowanych w „Tygodniku literackim poznańskim" wydał we Wrocławiu (1844) „Bemerkungen über die Mundart der polnischen Niederschlesier" — Uwagi o narzeczach polskich Dolnoślązaków.

Wymienieni pastorzy utrzymywali ze sobą kontakt, prowadzili żywą korespondencję. Łączyła ich jedna — i bez przesady napisać można — wielka sprawa: podtrzymanie i utrzymanie ducha polskiego na ziemiach , które słusznie zwano „tragiczną krainą".

Nic więc dziwnego, że do tych trzech nazwisk dołączyć trzeba czwarte — **Jana Ewangelisty Purkyněgo,** Czecha, wielkiej sławy uczonego, profesora uniwersytetu we Wrocławiu, znanego słowianofila, krzewiciela i propagatora tej kultury. Stworzył on we Wrocławiu ośrodek myśli słowiańskiej, zakładając przy tamtejszym uniwersytecie Towarzystwo literackie, zwane też Związkiem Sarmatów, które skupiało młodzież akademicką pochodzenia polskiego i tych, którzy znali przynajmniej jeden ze słowiańskich języków.

Jan Purkyně prowadził rozległą korespondencję z działaczami polskimi, udzielał rad, wskazówek, a często i bezpośredniej pomocy. Poniżej zamieszczamy fragmenty korespondencji pomiędzy prof. Purkyně a Gizewiuszem i Fiedlerem, aby przybliżyć Czytelnikom — listy zawierają momenty osobiste — postacie tych szermierzy polskości, jak i czasy, w których przyszło im żyć, pracować i walczyć. Listy poprzedzamy wiadomościami o życiu Gizewiusza i Purkyněgo, o Mrongowiuszu zaś pisze w tym numerze, w dziale „Wśród książek" (str. 42) — Wojciech Wrzos.

*REDAKCJA*

HERMAN MARCIN GUSTAW GIZEWIUSZ urodził się dnia 21 maja 1810 r. w Jańsborku (Pisz) na Mazurach, z ojca Marcina Gizewiusza, rektora szkoły miejskiej i matki Jakobiny Taurek, która była córką byłego rektora tejże szkoły.

W trzecim roku życia stracił Gizewiusz ojca, a rodzina składająca się oprócz Gizewiusza jeszcze z trzech sióstr, znalazła się w wielkim niedostatku.

Po ukończeniu szkoły miejskiej miał Gizewiusz być oddany na naukę do handlu korzennego, czemu się jednak stanowczo oparł, pragnąc zostać kaznodzieją. Pomoc w tym przedsięwzięciu znalazł u swego dalekiego krewnego, superintendenta w Ełku, który oddał Gizewiusza do gimnazjum w Ełku. Po ukończeniu gimnazjum w r. 1828 udał się Gizewiusz na uniwersytet do Królewca, gdzie studiował teologię protestancką. Podczas studiów utrzymywali go szwagrowie.

Gizewiusz pochodził z polskiej rodziny Gizyckich, która uległa zniemczeniu, a jej nazwisko latynizacji. Znał jednak nasz język od służby i polskiego otoczenia, w którym wyrósł. Na uniwersytecie w Królewcu zaczął pilnie studiować ten język, gdyż kandydat na pastora ewangelickiego, znający mowę Mazurów pruskich, mógł łatwiej uzyskać posadę. W Królewcu poznał swą przyszłą żonę, Żydówkę, Annę Rebekę Fürst, urodzoną w r. 1817, sierotę, wychowaną przez babkę i dziedziczkę znacznego majątku. Anna Fürst, czytając historię polską, rozkochała się w narodzie polskim i postanowiła wyjść za mąż tylko za Polaka — o ile możności za wojskowego. Gizewiusz widząc u swej narzeczonej zainteresowanie dla spraw polskich, zaczął gorliwie studiować język. Anna, licząc dopiero 15 lat, oparła się woli swych opiekunów pragnących wydać ją za mąż za byłego nauczyciela domowego, przyjęła protestantyzm i w 18 roku życia (w r. 1835) wyszła za mąż za Hermana Marcina Gustawa Gizewiusza, kiedy on po ukończeniu studiów uniwersyteckich i kilkuletniej guwernerce otrzymał posadę pastora ewangelickiego gminy polskiej w Ostródzie.

Działając jako kaznodzieja ewangelicki, poświęcał cały wolny czas ludowi polskiemu, chcąc go podnieść materialnie i duchowo, bronił jego języka i godności narodowej, deptanej przez Niemców, zbierał pieśni i podania ludowe, studiował gwarę. W ludzie polskim widział nie tylko ucznia, ale i swego nauczyciela, nosiciela poezji i muzyki, przekaziciela filozofii narodowej.

Chociaż poglądy takie nie były nowością, to jednak były rewolucyjne, gdyż dotyczyły opuszczonego i wzgardzonego przez wyższe sfery niemieckie i polskie ludu mazurskiego.

Gizewiuscz był pierwszym, który przywiązał się do polskiego ludu mazurskiego, do jego stanu, języka, śpiewów, powieści, obyczajów i gwary.

Herman Marcin Gustaw Gizewiusz nawiązał łączność z Poznaniem, głównym bastionem polskości pod panowaniem pruskim. W r. 1838 napisał niemiecki list do Józefa Łukaszewicza, z prośbą o doręczenie go hr. Edwardowi Raczyńskiemu wraz z tłumaczeniem na niemiecki „Dosińskiego" Fryderyka Skarbka. Hr. Edward Raczyński odradzał mu tego rodzaju prace i obarczył go przetłumaczeniem na język niemiecki Pamiętników Albrechta Stanisława Radziwiłła. Pomimo, iż Gizewiusz z zapałem przystąpił do pracy, widocznie jej nie ukończył, gdyż tłumaczenie nie wyszło drukiem.

W r. 1839 przetłumaczył na język niemiecki „Czerwoną sukienkę" Michała Czajkowskiego i wydrukował to tłumaczenie w „Przyjacielu Ludu"; następnie ogłosił pieśni ludowe zebrane w okolicy Ostródy i przetłumaczył na język polski z języka niemieckiego wiersz „Kwitnący len".

W r. 1840 dokonał tłumaczenia na niemiecki „Wernyhory" Czajkowskiego.

2 sierpnia 1842 r. w liście do Krzysztofa Celestyna Mrongowiusza, ostatniego ewangelickiego kaznodziei polskiego przy kościele św. Anny w Gdańsku, czyni wzmiankę o tym, iż odbył podróż do Warszawy. W podróż tę wybierał się już w r. 1839, chcąc towarzyszyć J. Łukaszewiczowi. Kiedy jednakże J. Łukaszewicz zaniechał swego zamiaru, wybrał się w podróż do Warszawy w r. 1840 z innym towarzyszem.

W r. 1841 zwiedził Gizewiusz Niemcy, Czechy, Włochy i Szwajcarię; z Czechów poznał słynnego Józefa Šafaříka i Wacława Hankę, Kopitara, z Polaków — Trentowskiego, Cybulskiego i Siemieńskiego. Krzysztofa Celestyna Mrongowiusza odwiedził w Gdańsku w r. 1842. Z Gdańska udał się do Berlina w celu wręczenia królowi pruskiemu listu Celestyna Krzysztofa Mrongowiusza w obronie języka Mazurów. W Berlinie wyłożył ówczesnemu ministrowi oświaty, Eichhorowi, z takim przejęciem ucisk Mazurów, iż ten wezwał go do opracowania w tej sprawie memoriału. Z pewnością wówczas powstały fundamenty pod największe dzieło Gizewiusza — *„Die polnische Sprachfrage in Preussen"*.

W drodze powrotnej z Berlina zwiedził Gizewiusz Budziszyn, gdzie zaznajomił się z Łużyczaninem, Janem Piotrem Jordanem, przywódcą ruchu serbołużyckiego, profesorem języków i literatur słowiańskich, w którym znalazł wielkiego przyjaciela. Współpracował później w redagowaniu jego „Jahrbüher für slawische Literatur, Kunst und Wissenschaft", wydawanych w Lipsku od roku 1843.

Pracując nad memoriałem dla ministra oświaty Eichhorna z pomocą Krzysztofa Cele-

styna Mrongowiusza, ogłaszał tłumaczenie w języku polskim pruskiego „Kinderfreuda".

W drugiej połowie r. 1843 pojechał H. M. Gizewiusz ponownie do Warszawy, chcąc nawiązać łączność z Wacławem Aleksandrem Maciejowskim, słynnym znawcą prawa rzymskiego i historykiem, jak również z J. K. Wójcickim.

Pomoc, jaką otrzymał z Poznania, była bardzo skromna. Józef Łukaszewicz posyłał mu wydawnictwa hr. Edwarda Raczyńskiego, a nadsyłane przez Gizewiusza wiersze opatrywał uwagami pełnymi zachęty, wzamian jednak żądał wiadomości o starych protestanckich drukach polskich, o materiałach źródłowych do dziejów Reformacji w Polsce i o narzeczu kaszubskim. Hr. Raczyński żądał znowu od Gizewiusza wiadomości o rękopisie Abrahama v. D o h n a, posła pruskiego w Polsce w r. 1611.

W roku 1842 ukazało się na Mazurach pierwsze czasopismo polskie *„Przyjaciel Ludu Łecki"* (w 6 lat później wyszła w Prusach królewskich polska „Szkoła chełmińska"). „Przyjaciel Ludu Łecki" był redagowany przez profesora M e n z l a, właściciela drukarni w Ełku. Gizewiusz od samego początku stał się jego gorliwym pracownikiem, zamieszczając liczne artykuły i wykonując korektę. Praca w powyższym miesięczniku, Gizewiusza i innych pastorów a także nauczycieli, miała wielkie znaczenie dla podźwignięcia polskości na Mazurach. Ogółem wyszły 24 numery tego pisma, z czego 12 numerów w r. 1842, reszta zaś — datowana w r. 1844 — była w rzeczywistości wydawana przez cały rok 1844 i 1845. W roku 1843 nie wyszedł żaden numer. Uzupełnia to wydawnictwo „Przydatek do Łeckiego Przyjaciela Ludu", drukowany w Lipsku u Brockhausa w Instytucie typograficznym, który drukował wszystkie inne numery „Przyjaciela Ludu Łeckiego".

„Przydatek" datowany w styczniu w r. 1844 jest najciekawszym z numerów tego czasopisma. Zawiera odpowiedzi polemiczne na wiersz „szkólnika" J. Marczówki, (z 12 numeru „Przyjaciela"), który wzywał Mazurów do uczenia się po niemiecku. Wiele odpowiedzi nadesłano do redakcji „Przyjaciela", nie umieszczono ich jednak z powodu rzekomego braku miejsca. Wobec tego ich autorzy wydrukowali w Lipsku dodatkowy zeszyt i dołączyli go jako „Przydatek do Przyjaciela". Na wstępie już piszą, jak to pewien pan Marczówka, szkólnik, wyrwał się jak Filip z konopi ze swoim wierszem, podsuwając poczciwym Mazurom niegodną myśl. Dlatego więc prawdziwi przyjaciele ludu, chcąc zapobiec zgorszeniu, uznali za rzecz słuszną i konieczną dać mu odprawę. Odpowiedź jest poprzedzona licznymi cytatami z Pisma Świętego, m. in. — „Strzeżcie się fałszywych proroków" (Mat. 7, 15), „Nie samym chlebem człowiek żyć będzie" (Mat. 4, 4). Izali Bóg jest tylko Bogiem Żydów (Niemców — ludu niby wybranego) i azali też nie pogan (Mazurów — Polaków). Zaiste i pogan (Rzym. 3, 29). Następnie idą trzy strofy autorstwa Bartoszewicza i Kętrzyńskiego:

*Kupczyć mową po kupiecku,*
*Mieniać ją po nowoświecku,*
*Nie jest to po mazowiecku,*
*Wolę siedzieć w mym zapiecku,*
*Skromnie żyć nie po ślachecku,*
*Niż być przechrztą po niemiecku.*

Inna odpowiedź na wiersz pana Marczówki zawiera zdziwienie z powodu niefortunnego wystąpienia wierszoklety w chwili, kiedy Najjaśniejszy Król uznał za rzecz słuszną nie męczyć młodzieży prusko-polskiej niemczyzną. Autor tej wypowiedzi uskarża się, iż pogarda w stosunku do wszystkiego co polskie jest tak powszechna, że przez pewien czas zabraniano dzieciom nauki czytania w języku polskim. Jeden z owych wrogów polszczyzny nazwał ją mową barbarzyńską, a pracowity lud — „polskimi bestiami". Nikt nie powinien wierzyć panu Marczówce, że przyczyną ubóstwa Mazurów jest język polski. Wszak i w wielu miejscach w Niemczech panuje niedostatek, pomimo iż tam wszyscy mówią po niemiecku.

Niemcy nauczyli Mazurów wielu pożytecznych rzeczy. Luter dał im Biblię, katechizm i pieśni religijne. Mazurzy nie zarzucali swej mowy ojczystej, ale przełożyli te pisma na swój język.

W zakończeniu „Przydatku do Przyjaciela" wydrukowano „dwie piosnki nabożne" przydać się mogące Polakom mieszkającym w Prusach. W jednej z nich jest następująca zwrotka:

*Użal się nas, użal, miłosierny Boże,*
*Albowiem już ledwie ciernieć więcej może*
*Nasze człowieczeństwo pośmiewisk i wzgardy,*
*Które na nas miota lud swem szczęściem hardy.*

Tak przed laty na wysuniętym i zapomnianym posterunku uskarżała się dusza mazurska.

Gizewiusz nie tylko trudnił się redagowaniem i korygowaniem „Przyjaciela", ale sam zamieszczał w nim liczne rozprawy i wiersze tłumaczone przeważnie z języka niemieckiego.

W marcowym, kwietniowym i majowym numerze znajduje się jego artykuł „Umiejętność drukowania książek", w którym autor wyłożył historię drukarstwa w ogóle i historię drukarń polskich w Prusach Książęcych. O pierwszej z nich, Jana Małeckiego, stwierdza, że stała się dla tutejszych mieszkańców „ogniskiem światła". Po upływie trzech wieków powstała w Ełku nowa drukarnia polska, a z nią „Przyjaciel Ludu".

Kwietniowy zeszyt zawiera tłumaczenie Gizewiusza opowieści Scriveriusa pt. „Skowronek", a czerwcowy — piękny przekład luterańskiej pieśni „Ein feste Burg ist unser Gott". W tym samym zeszycie znajdujemy przekład krótkiej przypowieści Scriveriusa. W sierpniowym numerze przedrukował Gizewiusz z kancjonału elbląskiego pieśni pastora Michała Grodzickiego, pt. „Mór w Prusach w r. 1709"; w zeszycie wrześniowym: „Nagrobek", który pastor Tomasz Molitor (1616—1692) w dzień przed śmiercią sam napisał. Przy tej okazji przypomina Gizewiusz, że niegdyś w dniu 3 maja obchodzono w Prusach święto dziękczynienia pruskiego za pokój oliwski 1660 r. W kościołach mazurskich śpiewano w owe święto pieśń „Ojczyzno tęskliwa", drukowaną w kancjonale polskim. Pieśń ta w prostych i wzruszających słowach opisywała najazd tatarski na Prusy za Jana Kazimierza i okropne spustoszenie Mazowsza pruskiego. Napisał ją Tomasz Molitor. W październikowym numerze „Przyjaciela", na dowód, że i wśród ludu mazurskiego znajdują się talenty poetyckie, wydrukował Gizewiusz wiersz domorosłego poety, włościanina, Frycza Olszewskiego.

W listopadowym numerze przedrukował Gizewiusz swoje tłumaczenie „Lnu kwitnącego", drukowane już w r. 1839 w leszczyńskim „Przyjacielu Ludu", a w numerze następnym przekład z niemieckiego „Śpiew wieśniaków podczas siewu".

Ostatnia praca Gizewiusza, umieszczona w „Przyjacielu" to „Odezwa starego plebana do parafian z powodu częstego grania w karczmie a przy tej okazji zdarzających się pijatyk, kłótni, złorzeczeń, przekleństw i tym podobnych nieprawości".

W celu podźwignięcia ludu mazurskiego z biedy umieszczał w „Przyjacielu Ludu" i artykuły rolnicze, dotyczące gospodarstwa wiejskiego, pracy na roli, hodowli bydła i ogrodnictwa.

Z literaturą polską zaznajamiały lud mazurski przedruki utworów Mikołaja Reja, Jana Kochanowskiego, Ignacego Krasickiego, Franciszka Kamińskiego, J. Naruszewicza, Minasowicza, Wojciecha Bogusławskiego, Antoniego Góreckiego, Antoniego Czajkowskiego i innych.

Do „Przyjaciela" oprócz Gizewiusza pisali: Krzysztof Celestyn Mrongowiusz, pastorzy: Giersz, Kraska, W. Balicki, Skubich, Olech. Szczęsny z Olsztyna i Skrodzki oraz nauczyciele: J. Marczówka, Maletc, Pawłowski i Kozłowski. W okresie wydawania drugiego rocznika „Przyjaciel" liczył 287 czytelników. Poza Mazurami rozchodziło się tylko 20 numerów, reszta była czytana wyłącznie przez Mazurów. W Poznaniu oprócz J. Łukaszewicza czytał pismo wydawca „Tygodnika Literackiego" — Antoni Woykowski.

Kres powyższemu wydawnictwu położyła klęska głodowa, która nawiedziła Mazury w r. 1845.

O przebiegu walki o język polski w szkole, stoczonej przez Mrongowiusza, Gizewiusza, Kriegera, Pauliniego i innych, pouczają nas materiały źródłowe, ogłoszone drukiem przez Gizewiusza. Pierwszy zeszyt ukazał się w r. 1843 w Lipsku pod tytułem „Die polnische Nationalität in Preussen", dwa następne zeszyty wyszły w r. 1845 pod zmienionym tytułem „Die polnische Sprachfrage in Preussen". Całość liczy 383 strony.

Wydawca nie położył na karcie tytułowej swego nazwiska. Jan Piotr Jordan wyjaśnia w przedmowie, że nie pozwoliła na to zajmowana przez wydawcę pozycja. Dzieło to zadedykował Gizewiusz stanom prowincjonalnym Prus (Wschodnich i Zachodnich), Śląska i Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Wydawnictwo to nie dotarło do posłów wielkopolskich.

Zeszyt I zawiera rozporządzenia rejencji gąbińskiej z lat 1834—1842, wprowadzające nauczanie języka niemieckiego w szkołach mazurskich, polemikę prasową przeprowadzoną w tej sprawie w r. 1842 oraz materiały dotyczące szkolnictwa na Śląsku i w Poznańskiem. Jedynie pastorzy, jak dowodzi protokół synodu powiatowego w Olecku z 6 października 1836 r., wystąpili przeciwko tym drakońskim przepisom, domagając się zachowania mowy ojczystej przynajmniej w nauczaniu religii. Opór odniósł skutek, gdyż Konsystorz królewiecki nakazał udzielać nauki przedkonfirmacyjnej w języku ojczystym.

Druga część zeszytu pierwszego składa się z artykułów przedrukowanych z gazet królewieckich, łeckich, gąbińskich i lipskich. Poucza o starciu obrońców polskości Mazurów ze zwolennikami akcji germanizacyjnej.

W numerach 225—227 umieścił Gizewiusz w Königsberger Zeitung obszerną rozprawę pt. „Das polnische und deutsche Element in Masuren", w której sprostował fałsze historyczne przeciwników oraz twierdzenie, że język Mazurów jest jakąś zepsutą mieszaniną językową.

Wojna dziennikarska o język Mazurów zaczęła przybierać coraz to ostrzejsze formy. W numerze 133 Königsberger Zeitung ogłoszono petycję Mrongowiusza, którą królowi Fryderykowi Wilhelmowi IV do Berlina osobiście zawoził Gizewiusz.

W zeszycie II opublikowano dokumenty narodowe z lat 1804—1843 dotyczące germanizacji Mazurów w obrębie rejencji królewieckiej oraz 16 dokumentów dotyczących zgermanizowania szkolnictwa mazurskiego w rejencji gąbińskiej przez radcę Rättiga w latach 1834—1843. Od r. 1835 zaczęto wydawać coraz to ostrzejsze zarządzenia w sprawie germanizacji Mazurów. Drugi zeszyt zawiera bogaty dział

artykułów dziennikarskich, korespondencję poznańskiego adwokata Krotowskiego z władzami w sprawie języka w sądownictwie oraz korespondencję ministra Eichhorna z Mrongowiuszem.

W III zeszycie — komentarze zostały ograniczone do zaledwie kilku.

W latach 1844 i 1845 nawiedziła Mazury ciężka klęska głodowa. Na wieść o niej król Fryderyk Wilhelm IV udał się do parafii ostródzkiej, gdzie w dniu 1 czerwca 1845 r. Gizewiusz wygłosił przemówienie powitalne, a jedna z córek gospodarskich wręczyła królowi wiersz Gizewiusza napisany na jego cześć. W zachwyt wprowiła Gizewiusza wypowiedź króla, umieszczona w artykule w 32 numerze gazety łeckiej, a przedrukowana w Jahrbücher Jordana, stwierdzająca, że Mazurzy są czystej krwi Sarmatami. Również w tym artykule opisał Gizewiusz inne zajście. W pewnej wsi powiatu łeckiego nie mógł się król porozumieć z sołtysem. Wobec tego, iż nikt nie umiał po niemiecku, prezydent rejencji gąbińskiej oświadczył królowi, że Mazurzy mówią dobrze po niemiecku, ale nie używają tego języka, gdyż uważają sobie za zaszczyt mówić tylko po polsku. Na to król odpowiedział, że Mazurzy postępują słusznie dlatego, że jest zaszczytem trzymać się wiernie swej mowy ojczystej (dass sie daran recht täten und dass es allerdings eine Ehre sei an der Muttersprache festzuhalten — Gazeta Łecka: nr 9. rok 1846. Artykuł ten przedrukowały Jahrbücher Jordana: IV, 1846, str. 229—230).

Z powodu klęski głodowej zakupił Gizewiusz na własny rachunek wielkie zapasy zboża i kazał je sprzedawać po cenie zakupu. Stracił wówczas znaczną część majątku wniesionego mu przez żonę.

Walkę o język polski kontynuował Gizewiusz wydawaniem śpiewników polskich w latach 1846 i 1847.

Pierwszy „Śpiewnik szkolny i domowy dla wesołej a niewinnej młodzieży naszej..." zeszyt 1 (Lipsk, w ekspedycji słowiańskich roczników 1846, 40 s. 81), zawiera 71 pieśni z melodiami. Drugi śpiewnik, znacznie mniejszych rozmiarów, wydał Gizewiusz w r. 1847 pod tytułem „Pieśni narodowe Prusaków". Nakład wyniósł 1500 egzemplarzy.

W celu uniezależnienia Kościoła ewangelickiego na Mazurach od niemieckiej hierarchii kościelnej w Królewcu, prowadził starania o utworzenie odrębnej superintendentury generalnej w Ełku; nie przyjął jednak proponowanej mu po śmierci Kriegera superintendentury w Ełku. Gotów był jednak rzucić wszystko, gdyby go powołano na stanowisko nauczyciela polskiego seminarium nauczycielskiego w Królewcu. Powierzono mu nadzór nad szkołami polskimi w parafii ostródzkiej, gdzie udzielał kilku lekcji w tygodniu. Za działalność patriotyczną na stanowisku kaznodziei, wytaczano mu dwukrotnie procesy dyscyplinarne (1843, 1847).

Nadmierna praca wyniszczyła przedwcześnie jego siły. Pod koniec kwietnia 1848 r. zemdlał przy ołtarzu. Mimo to po dwóch dniach udał się na zgromadzenie przedwyborcze. Gdy przemawiał w uniesieniu, został tknięty apopleksją. Żył jeszcze do 7 maja 1848 r.

Przed samą śmiercią sprawił mu jeszcze wielką radość wybór na posła do Parlamentu w Berlinie. Sądził, że z przedstawicielami ludu polskiego z Prus Zachodnich, Górnego Śląska i Wielkiego Księstwa Poznańskiego wyjedna w sejmie względniejsze zasady administrowania krainą Mazurów.

Umierając osierocił żonę i czworo nieletnich dzieci. Pochowano go w kościele, w miejscu poprzednio przez niego wybranym.

JAN EWANGELISTA PUKRYNĚ (1787—1869), jeden z największych uczonych czeskich czasów odrodzenia narodowego, był prawie o 10 lat starszy od nestora piśmiennictwa polskiego na Śląsku — Józefa Lompy. Poniższa informacja nie będzie zawierała życiorysu słynnego profesora, współtwórcy współczesnej histologii, omówi jedynie krótko działalność słowiańską Purkyněgo.

Purkyně przybył do Wrocławia w roku 1823 i tam, jako profesor uniwersytetu, obok właściwych obowiązków, tłumaczy z języka niemieckiego na czeski, (głównie Goethego i Schillera) chcąc w ten sposób uprzystępnić swoim współrodakom znajomość literatury europejskiej. Obok lirycznych wierszy Schillera, wydanych we Wrocławiu w r. 1840 własnym nakładem, publikuje Pukryně w 1842 r. polskie tłumaczenie „Odgłosu pieśni czeskich". W r. 1830 zaznajamia z pracą naukową Pawła Šafařika „Slawischen Sprachen und Literatur", a w r. 1835 referuje dzieło Wacława Zaleskiego z Oleska (1810-1849), który razem ze znanym skrzypkiem Karolem Józefem Lipińskim (1790-1860) wydał we Lwowie „Pieśni polskie i ruskie ludu galicyjskiego". W roku 1837 pisze Purkyně o pracy naukowej słynnego slawisty, Kopitara (1780—1844) — „Glagolita closiana" wydanej w Wiedniu w r. 1836.

Do działalności słowiańskiej zaliczyć powinniśmy również prace Purkyněgo, które ukazały się w polskich czasopismach naukowych. W r. 1835 w „Kwartalniku naukowym" w Krakowie zamieszczono „Badania w przedmiocie fizjologii mowy ludzkiej", którymi Purkyně zapoczątkował swoje badania na polu fonetyki. Oryginał przesłany został Akademii Umiejętności w Berlinie, ale nie ukazał się w druku.

Drugim czasopismem, w którym Purkyně publikował prace z zakresu swej specjalności

(fizjologia i patologia) był „Rocznik wydziału lekarskiego przy Uniwersytecie Jagiellońskim".

Za swoje zasługi na polu naukowym mianowany został w dniu 2 kwietnia 1839 r. doktorem honorowym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Podczas pobytu J.E. Purkyněgo we Wrocławiu, założone zostało na tamtejszym uniwersytecie Towarzystwo literacko-słowiańskie, które skupiało studentów narodowości polskiej, niewielki procent Górnoślązaków, oraz tych studentów, którzy władali przynajmniej jednym z języków słowiańskich. Powołane zostało do życia w dniu 3 maja 1836 roku. Prof. Ritter, ówczesny rektor uniwersytetu, w zezwoleniu na założenie Towarzystwa wymienia nazwisko Purkyněgo, z którego inicjatywy Towarzystwo powstało.

Podczas swego istnienia (1836-1886) skupiało 907 członków, ale sam Purkyně, choć był jego duszą, nie figuruje na liście członków. Zebrania odbywały się w mieszkaniu Purkyněgo; protokoły z nich pisano pierwotnie w języku niemieckim — ze względu na niemieckie kierownictwo uniwersytetu — później po polsku. Pierwszym sekretarzem Towarzystwa był medyk — Teofil Matecki, po nim Augustyn Mosbach i inni. Pierwszym seniorem został Anielewski.

Na zebraniach Towarzystwa Purkyně wygłaszał referaty o literaturze słowiańskiej, o bibliotekach w Polsce, czytał własne tłumaczenia serbskich przysłów, informował o kierunkach we współczesnej czeskiej i rosyjskiej nowelistyce. Inni członkowie Towarzystwa również brali czynny udział w posiedzeniach, zaznajamiając młodzież akademicką ze słowiańską myślą poetycką i tym samym prowadząc ją poprzez pracę literacką i naukową do uświadomionej już działalności politycznej.

W dniu 10 lutego 1842 r. na zgromadzeniu Towarzystwa, prof. Purkyně postawił wniosek o ustanowienie wspólnego hymnu wszystkich Słowian jak i o ujednolicenie pisowni.

Z perspektywy czasu wyraźnie można ocenić zasługi Purkyněgo w dziele upowszechniania kultury słowiańskiej i prowadzenia szerokiej akcji słowianofilskiej na terenach tak boleśnie dotkniętych niewolą, wśród dzielnego ludu, z którego wyszedł, któremu służył i pozostał wierny.

## *List Roberta Fiedlera do J. E. Purkyněgo*

*Wielce Szanowny Panie Profesorze!*

*Zgodnie z życzeniem Pańskim, przesyłam w załączeniu „Mówcę Polski", którego pragnął Pan posiadać. Jeśli ta stara książka ze swoimi osobliwościami będzie się Panu podobała — sprawi mi to przyjemność.*

*Jednocześnie mam do Pana wielką prośbę. W najbliższą niedzielę mam pierwsze kazanie w naszym nowym kościele, które chciałbym dać chętnie do druku, gdyż wiem, iż sprawię tym wielką radość moim biednym Polakom. Kazanie to jest przeznaczone głównie dla mojego zboru i dlatego nie pretenduje do tego, by być przychylnie przyjęte poza ściśle określonym kręgiem ludzi.*

*Zanim jednak dojdzie do druku, życzyłbym sobie, by zostało ono przejrzane przez rodowitego Polaka, w celu uniknięcia ewentualnych błędów. Sam nie czuję się na siłach w tej kwestii i dlatego uciekam się do Pańskiej łaskawości. Sądzę, że znajdzie się ktoś w waszym Związku Sarmatów*[1]*), kto podejmie się trudu przejrzenia i wprowadzenia wielu poprawek w moim manuskrypcie. Musi to jednak nastąpić rychło, gdyż periculum in mora.*

*Śmierć mojego umiłowanego nauczyciela, pana prof. Habichta, zasmuciła mnie bardzo. Jemu zawdzięczam wiele przyjemnych godzin, a pamięć o Nim będzie mi zawsze droga. Sit ei terra levis. Moje sprawy sercowe przedstawiają się doskonale, o czym ma zaszczyt powiadomić Pana dołączona karta. Znalazłem młodą, śliczną i wykształconą dziewczynę.*

*Raz jeszcze proszę Pana o rychły zwrot przejrzanego kazania, kreślę się z poważaniem*

*Wasz Wielmożny Panie*
*uniżony sługa — Fiedler*

*Międzybórz, 10 grudnia 1839*

# *Robert Fiedler do J. Ew. Purkyněgo*

*Międzybórz, 22 stycznia 1840*

*Szanowny Panie!*

*Z pewnością uważa mnie Pan za niewdzięcznika, gdyż tak długo zwlekam z podziękowaniem za Pański łaskawy trud. Usprawiedliwi mnie Pan z pewnością jeśli powiem, że jestem aż tak bardzo przeciążony sprawami służbowymi, że ledwo mogę im sprostać. Sporo czasu zabiera mi także moja narzeczona, która według jednogłośnej opinii wszystkich, należy do najpiękniejszych dziewcząt Rawicza, co nie pozostaje bez znaczenia w miasteczku liczącym 10.000 dusz.*

*Jak bardzo ją kocham, może Pan wywnioskować z tego, iż z jej powodu zrobiłem już 112 mil, choć Rawicz odległy jest stąd o mil 8. Nasze wesele odbędzie się z początkiem maja. Ona ma słabą znajomość języka polskiego, ale za to lepiej zna go mój teść, który był polskim oficerem ułanów u Poniatowskiego, a przez Rosjan został zapędzony w dwuletnią niewolę na Kaukaz; krew polska więc płynie w jego żyłach. Chciałem przecież tylko podziękować Panu za poniesione trudy, a tu znalazłem się na Kaukazie... Zarówno Panu samemu, jak też i wówczas nieznanemu mi korektorowi mojego kazania — jestem szczególnie zobowiązany. Może Pan będzie łaskaw Panu Bratu i Koledze powiedzieć, że chętnie stoję do jego usług, gdyby kiedykolwiek mnie potrzebował. Skromnym dowodem mojej wdzięczności dla niego niechaj będzie ofiarowanie mu jednego egzemplarza kazań z tych pięciu, które załączam do Pańskiej dyspozycji. Myślę, że nie weźmie mi on za złe, że nie korzystałem z jego nowej ortografii, do której nie mogę się przyzwyczaić, a która utrudniłaby także czytanie moim ludziom. Ja nie piszę „tej" a „tey", nie „ojciec" a „oyciec" i stosuję „j" wyłącznie na początku sylaby, np. „jest", „przyjechał" itd. Podobnie pozostawiłem wiele słów, które — choć nie brzmią dobrze dla nowoczesnego ucha polskiego — to jednak zaczerpnięte są z naszego starego przekładu polskiej Biblii i pozostawiłem je niezmienione, gdyż tutejszym Polakom są bardzo bliskie, a w mowie ich spotykamy wiele archaizmów. Wdzięczność, na jaką sobie u mnie korektor zasłużył nie może być przez to oczywiście umniejszona; wszystkie uczynione przez niego poprawki uznaję — z wielkim podziękowaniem za istotne.*

*Kazania te sprawiły moim ludziom wiele przyjemności, a zatem nie minęły się z celem. Chciałbym niejedno dla Śląskich Polaków, a także dla moich braci w urzędzie, wydrukować, ale mam pewne braki w tym języku, które utrudniają mi obcowanie z wykształconymi Polakami.*

*Niejeden z Polaków i polskich duchownych mógłby wiele zdziałać dla swojego narodu, gdyby miał upodobanie do literatury. Niestety jednak — gorzelnictwo jest często milsze. Kto niedobry pijak — ten niedobry Polak. Kiedy rodzaj ten dojdzie do opamiętania!*

*Dziękując za Pański miły list, kończę zapewnieniem poważania*

*Wasz uniżony sługa*
*Fiedler*

## *Robert Fiedler do J. E. Purkyněgo*

*Wielce Szanowny Panie Profesorze!*

*Z głębokim uszanowaniem pozwalam sobie przesłać Panu do korekty moją drugą część wydawanych kazań [2]). Istnieją zaprawdę trudności w przedstawieniu naszym śląskim Polakom zagadnień życia duchowego w sposób popularny, przystępny i w rozumianym przez nich języku. Każda abstrakcyjna myśl musi być indywidualizowana i poparta przykładem z życia. Jeśli się tego nie uczyni — kazanie trafia do głuchych. Do tego trzeba dodać jeszcze trudności z językiem, który u nas nie poczynił żadnego postępu, zatrzymując się na poziomie — być może — sprzed trzystu laty. Wszystkich nowych form należy jak najstaranniej unikać, dobierając tylko te, które znajdują się w Biblii, Postylli Dambrowskego [3]) i w naszym śpiewniku (to jest cała nasza polska bibliotęka).*

*Jednak dla wyrażenia wielu nowych myśli nie znajdujemy odpowiednich zwrotów w wyżej wspomnianych książkach! Jakże często, w języku nieco bardziej rozwiniętym, formą wprost nieuniknioną staje się zwrot „Einfluss haben". Współczesny Polak ma na to odpowiednik „mieć wpływ", ale ja nie mogę skorzystać z tej formy w moim zbiorze. Wystrzegam się jej w miarę możności od czasu, kiedy to od jednego z tutejszych Polaków, na pytanie, co ma na myśli używając zwrotu „mieć wpływ", otrzymałem odpowiedź: ja myślę o plewach!*

*Chętnie i częściej korzystałbym także z tych pięknych polskich konstrukcji imiesłowu, która jakoś język ten zaokrągla i czyni go podobnym do łaciny. Ale imiesłowy i rzeczowniki odsłowne, chociaż brzmią przyjemnie, to jednak przelatują koło uszu słuchających, nie pozostawiając wrażenia. Dlatego też zamiast tych form byłem zmuszony użyć szerszych, bardziej opisowych, trącających nieco germanizmami.*

*Od pewnego czasu zajmuję się także zbieraniem tutejszych pieśni ludowych i jestem wprost zaskoczony, że w ustach tej ludności żyje jeszcze tak wiele poezji. A oto próbka naszej dolnośląskiej poezji:*

*Wczoray wieczora ranuszko,*
*Przespała się Zuzia maluszko*
*Przespała*
*Myślała*
*Nie wiedziała*
*Jak jabłuszko sadzić miała.*
*Posadziła z wieczora,*
*O północy się przyjęło*
*A nade dniem zakwitało,*
*Czerwieniuszkie jabłka miało,*
*Po jedney stronie czerwone,*
*Po drugiey pięknie zielone.*
*Zawiey, ty wiatrku, z daleczka,*
*Urwiy jabłka z wierzchołeczka,*
*Urwiyże jedno albo dwie,*
*Jedne mey miley, drugie mnie.*
*Woźnico: zaprząż konie wrone,*
*Powieź to jabłuszko czerwone,*
*Powieź czemprędzey bez pole,*
*Złóż je u mey miley na stole.*
*A powiedz jey też: dobry dzień,*
*Że ja do niey za tydzień*
*Stawię się, albo za dwa dni,*
*Jeno mi nie zabłądniey.*
. . . . . .
*A u mego okieneczka,*
*Rosła piękna jabłoneczka.*

*Któż mi będzie jabłka zbierał?*
*Gdy móy miły się pogniewał! —*
*Choć żałość mi we gniewie*
*On nie gniewa się prawdziwie!*

*Międzybórz, 3 marca 1843 r.*

## *Robert Fiedler do J. E. Purkyněgo*

*Międzybórz, 29 grudnia 1867 r.*

*Szanowny Panie Profesorze!*

*Dzisiaj dopiero czytałem w Gazecie Toruńskiej co następuje: „Dnia 17 tm. odbyła się w Pradze na cześć uczonego Purkyně, uroczystość 80 rocznicy urodzenia jego. Na pamiątkę dnia tego wybity został medal, na którym z jednej strony znajduje się popiersie z napisem — Jan Purkyně, a z drugiej jeniusz umiejętności i napis: Nesmrtelný u narodu".*

*Przeczytawszy to, nie mogłem sobie odmówić przyjemności, lubo post festum, jak najszczerzej Panu powinszować tej nader rzadkiej uroczystości i zarazem przesłać Mu przy kończącym się roku życzenia Dosiego Roku!*

*Ja ciągle jeszcze przebywam w tym nieznanym zakątku świata, samotnie ze swymi dążeniami. Polepszył się u nas trochę stan rzeczy, bo w moich szkółkach obecnie więcej niż dawniej uwzględniony bywa język polski; w seminarium Kluczborskim nauczyciele uczą też teraz religii, do czego i ja się cokolwiek przyczyniłem, jako tako po polsku. Macierzysta mowa dotychczas jest górą, ale Bóg wie, jak długo jeszcze, bo nie można niestety temu zaprzeczyć, że germanizacja robi tutaj ogromne postępy.*

*Co się tyczy mojej rodziny, to moja żona, dzięki Bogu, jeszcze żyje, ale cięgiem cierpi na suche bóle. Ona prosi Pana Profesora serdecznie przeze mnie pozdrowić. Mam też 3 córki i 1 syna. Z cór najstarsza pójdzie na wiosnę za kupca do Moskwy, gdzie ona już rok bawiła u mego szwagra, a syn mój, chcąc zostać marynarzem, pojedzie za parę miesięcy na okręcie kupieckim ze Szczecina do Indii wschodnich.*

*Mieszkam teraz w nowym pięknym domu, bo dwa razy w tym mieścisku pogorzałem, najprzód na mojej plebanii, a tego roku w wynajętym domu.*

*Mam zamiar nowy kościół zbudować w tutejszych lasach, procul a Jove procul a fulmine, między mymi Polakami zakończyć dni doczesne. Wybacz mi, Szanowny Panie, że Go nudziłem niniejszym listem. Nie mogłem jednak nie skorzystać z tej sposobności i pominąć ją milczeniem. Łaskawej pamięci Pana polecając się, łączę wyrazy głębokiego szacunku.*

*najniższy sługa Pana*
*Fiedler*

## *Robert Fiedler do J. E. Purkyněgo*

*Międybórz, 7 grudnia 1868*

*Szanowny Panie Profesorze!*

*Pan Dobrodziej obchodzi temi dniami, jak się z gazet dowiedziałem, rocznicę 81 urodzin i zarazem uroczystość 50-lecia jubileuszu doktorskiego. Przy sposobności tego nader rzadkiego festynu i ja, choć jeden z najmniejszych, nie chcę pozostać za tymi, którzy do Szanownego Jubilata z powinszowaniem przystąpią. Już dużo lat upłynęło jak nie miałem szczęścia Pana Dobrodzieja widzieć, ale jeszcze do dziś dnia przypominam sobie z przyjemnością mile w Jego towarzystwie spędzone chwile: we Wrocławiu, w Taborze, w Międzyborzu i w Kaliszu.*

*Życzę więc Szanownemu Panu z całego serca wypełnienia tego wszystkiego, czego sam jeszcze pragnie w wieczór długiego, naukom tak świetnie poświęconego życia.*

*Przytem zaś niech Pan Dobrodziej raczy i mnie trochę życzliwości, jak dotąd bywało, okazać, do której to prośby ośmielają mnie następujące, ręką Pańską w moim imienniku napisane, wiersze:*

*Málo dnj spolu přebywánji*
*Dosti bylo do poznanj,*
*Naše milost nezhyne*
*Napsal to Jan Purkyně.*

*Dne 18ho řigna 1839 r.*

*X Fiedler*
*kaznodzieja polski*

## *Gizewiusz do J. E. Purkyněgo*

*Wielce Szanowny Panie Profesorze!*

*Nie wiem, czy będzie Pan w stanie mnie sobie przypomnieć od tego czasu, kiedy to byłem przejazdem na Śląsku (w kwietniu 1842) i wolno mi było w Pańskim domu spędzić kilka wzruszających i dlatego szczęśliwych godzin. Do Wrocławia przybyłem li tylko dlatego, by zobaczyć Pana — tak dzielnego i ważnego propagatora słowiańszczyzny. Przybyłem wtedy z Berlina, gdzie podjąłem pewne kroki u Eichhorna [4]), by choć w części powstrzymać okrutny proces germanizacji na naszych Mazurach.*

*Wraz z powrotem w moje rodzinne strony rozpoczęła się też walka z naszym ciemiężcą, o czym świadczą także w dużym stopniu trzy kolejne zeszyty „Polskich kwestii językowych w Prusach". Wszystko wskazywało na to, iż nastąpiła szczęśliwa zmiana, lecz rok 1845 [5]) zburzył znowu tak wiele i spowodował, że siły reakcji mają wygraną partię.*

*Mam nadzieję, że już wkrótce będę mógł dostarczyć artykuł na temat naszej sytuacji do „Słowiańskiego Rocznika". Żaden ze Słowian nie może kierować swojego wzroku bez bólu na Poznań [6]). Gdzie są te czasy, kiedy różne czasopisma poznańskie były ostoją ruchu umysłowego, a w których także i Pan od czasu do czasu zabierał głos, udzielając cennych i pouczających wskazówek? Wszystko trwa w jakimś zastoju, a prasa rządowa może z samozadowoleniem obwieszczać: stosunek liczbowy Niemców do Słowian jest tam prawie równy i rzekomo wzrósł ostatnio do 7:5. Dlaczego dotąd nikt się nie znalazł, kto potrafiłby dowieść fałszu tych danych statystycznych, w których z całą pewnością każdy Polak, który włada jako tako językiem niemieckim, figuruje jako Niemiec! Principiis obsta, gdyż to są niebezpieczne błędy, przy których niemiecka strona z taką umyślnością obstaje.*

*Pomyśleć o Galicji i Krakowie [7]) aż zgroza! Nie mogę sobie ciągle tego darować, że moje nadwerężone zdrowie nie pozwoliło mi dołączyć się do prof. Maciejowskiego, który w roku 1845 podjął naukową podróż przez Galicję, Kraków, Śląsk i Poznań. Oglądałbym wyżej wymienione rejony starej Rzeczypospolitej w nieco weselszej szacie, aniżeli będzie to możliwe w przyszłości. W Warszawie byłem ostatnio w roku 1844. Panowała tam wtedy jakaś radosna, naukowa atmosfera. Bóg wie, ilu z tych ostatnich burz ocalało. Spodziewam się z wielką radością, iż wkrótce odwiedzi mnie tutaj prof. Maciejowski [8]). Jestem akurat przy przekładzie jego „Pierwotnych dziejów Polski i Litwy".*

*Jednym z moich najdroższych przyjaciół warszawskich jest Adrian Krzyżanowski [9]), szermierz polskości Kopernika i autor antyjezuickiego dzieła „Dawna Polska". Ten sam, który w Albumie Warszawskim w maju 1845 [10]) przedstawił próbkę swoich studiów o kawalerach maltańskich w Polsce, a która kończy się następującymi słowami: „... nim książka, tym artykułem zapowiadająca się, wyjdzie na świat, niech raczy, ktokolwiek może, wesprzeć tę zamierzoną przez nas pracę, przekazując i nadsyłając bez zwłoki do zbioru naszych dotychczasowych materiałów wiadomości jakie posiada, czy to rękopisowe, czy z książek rzadkich, tyczących się dziejów*

*zakonu maltańskiego w Polsce. Imiona osób, które czynnie zareagowały na tę prośbę naszą, zapisaliśmy w książce naszej, ze czcią dobremu uczynkowi należną."*

*Miałem kiedyś okazję posłać mu stary zeszyt „Śląskiej Prowincjonalnej Gazety" (Schlesischer Provinzialblätter) z artykułem na ten sam, względnie pokrewny temat. W odpowiedzi pisze mi tak: „Odnośnie do numeru „Śląskiej Prowincjonalnej Gazety", gdzie wiadomość o templariuszach w Polsce, wielce dziękuję. Ta wiadomość bardzo mi się przyda. Tu wspomnę z boleścią, iż wiem, jako dostanie się do Archiwum Wrocławskiego Akt Dawnych jest bardzo utrudnione przez pana naczelnika Stenzela [11]). Ja zaś pragnę sam się wybrać dla zdobycia wiadomości o kawalerach św. Jana, później zwanych maltańskimi, których najwięcej miał Śląsk za Piastów i za następnych władców tej krainy. Ty, Panie, może byś mi podał rękę i sposób na pokonanie tej trudności, jeżeliby Bóg i pokój pozwolił dostać się w tym celu do Wrocławia." Pomyślałem zaraz o Panu, jako o tym, który nie tylko będzie gotów jednego ze słowiańskich uczonych i kolegów wesprzeć w jego pracy, ale który ma także kontakty i wystarczające wpływy, by zapobiec trudnościom piętrzącym się na drodze Krzyżanowskiego w dostępie do tajnego archiwum.*

*Dlatego właśnie zwracam się w tej sprawie do Pana i proszę w imieniu Krzyżanowskiego, by zechciał Pan łaskawie powiedzieć, czego może się Krzyżanowski spodziewać i na co może liczyć lub mieć nadzieję, jeżeli w wyżej podanym celu przybędzie do Wrocławia. Czy rzeczywiście Stenzel jest tak niechętny, czy są raczej ograniczone możliwości korzystania z archiwum? Będzie mnie bardzo cieszyć, jeśli Pan łaskawie udzieli mi koniecznych informacji na ten temat, jeszcze w tym miesiącu.*

*Ponieważ Maciejowski (który szuka w Berlinie i Królewcu nowych materiałów do słowiańskiej historii prawa — nowe opracowanie) będzie tutaj przejazdem z początkiem czerwca, mógłbym mu — zgodnie z Pana wskazówkami — przekazać plan podróży Krzyżanowskiego do Wrocławia, co — myślę — lepiej jest omówić ustnie, niż na piśmie.*

*Jak wygląda u Was sprawa polskiego seminarium? Jak jest z działalnością Czelakowskiego? [12]) Tak chciałbym bardzo — jeżeli jest jakaś radosna wiadomość — cieszyć się razem z Wami. (...) Czy nie mógłbym, dzięki Pańskiej uprzejmości, otrzymać oryginał wniosku, który został zgłoszony przez pastora Fiedlera na Synodzie prowincji śląskiej, a dotyczący przygotowania wstępnego polskich kaznodziejów i nauczycieli? [13]) Chciałem go oddać do druku, ale posiadam tylko przekład polski, który ukazał się w Tygodniku Poznańskim.*

*Czy wiadomo Panu o małym zbiorze siedemdziesięciu pieśni młodzieżowo-szkolnych w języku polskim, który przygotowałem w Lipsku?*

*Jestem przekonany, że przy starannym korzystaniu, zeszycik ten może zdziałać wiele dobrego. List ten pisałem w maju, a wysyłam dopiero teraz. Oby tym wcześniej dotarła do mnie Pańska łaskawa odpowiedź. Bóg niechaj Pana zachowa.*

*Z tysiącem życzeń błogosławieństwa, zachowując Pana zawsze w trwałej pamięci.*

*Wasz G. Gisevius,*
*polski kaznodzieja ewangelicki*

*Ostróda, Prusy Wschodnie*
*dnia 28 lipca 1847*

## *Gizewiusz do J. E. Purkyněgo*

*Wielce Szanowny Panie Profesorze!*

*Niedawno pozwoliłem sobie skierować do Pana pismo, którego dalszą drogą miał się zająć pan E. Guenter z Leszna i sądzę, że dotarło ono do Pana. Aczkolwiek nie zostałem jeszcze zaszczycony Pańską odpowiedzią, to traktuję wyjaśnienie zawarte w wypowiedzi prof. Maciejowskiego do Krzyżanowskiego za dostateczne (zostało mi ono niedawno zakomunikowane). Głosi ono, zgodnie z Pańskim oświadczeniem, iż do tamtejszego archiwum dostęp jest niezmiernie trudny, bo w rzeczywistości jest ono prowadzone zgodnie ze swoją nazwą — tajne.*

*Zatem główny powód mojego listu został wyjaśniony, a odpowiedź zechce Pan łaskawie odłożyć na termin dogodniejszy i późniejszy. W międzyczasie wszedłem w posiadanie kilku przedmiotów pochodzenia czeskiego i czesko-śląskiego, i nie mogę się powstrzymać od zaprezentowania ich Panu, w nadziei, iż będą godne Pańskiej uwagi, a może nawet wykorzystania. Być może, że okażą się też godne, by zająć miejsce w Czeskim Muzeum Narodowym.*

*Jest to przede wszystkim dzieło czeskiego autora, Mateusza Walkenbersky'ego z roku 1581 o tematyce fizjologiczno-położniczej. Przypomniałem sobie, iż widziałem u Pana rękopisy Komeńskiego [14]), które Pan przeglądał w celu zapoznania się z osiągnięciami czeskimi na gruncie nauk przyrodniczych, i pomyślałem, że także i to dzieło może być dla Pana interesujące, zwłaszcza jeśli jest panu nieznane, co w przypadku starej książki i znanych losów czeskiej literatury z okresu starszego, nie jest chyba niemożliwe. Początkowo miałem zamiar przechować to dzieło aż do jubileuszu uniwersytetu praskiego, i wtedy, jeśli Bóg pozwoli, zabrać je do Pragi.*

*Gdziekolwiekby jednak ono nie dotarło przez Pańskie ręce, będzie tam, gdzie być powinno.*

*Kupiłem także okazyjnie, na przetargu numizmatycznym w Gdańsku, niektóre okazy (sztuki), które, być może, zostaną również przez Pana wykorzystane.*

*Są to:*

1. *medal pamiątkowy Jana Husa,cena 1 talar 11 Sgr (nr 30)*
2. *dwa czeskie grosze Władysława II, cena 7 Sgr (nr 410, 411)*
3. *jeden książęcy grosz śląski, Fryderyk II, książę Legnicy i Brzegu, Verb. Dom. manet in Etern. 1543, cena 1 Sgr (nr 452)*
4. *jeden z takich z r. 1544, cena 1 Sgr (nr 455)*
5. *jeden cent biskupi (trojak-moneta) z 1670, cena 3½ Sgr (nr 46).*

*W ten sposób przypadnie na moje dobro 1 talar 23½ Sgr. Może Pan będzie łaskaw napisać mi kilka słów na ten temat przy okazji. Nie powinienem właściwie obarczać Pana żadną prośbą, ale sądzę, że jej spełnienie nie sprawi Panu kłopotu i nie będzie dodatkowym ciężarem.*

*Z załączonych dwóch schletterowskich katalogów (przy okazji proszę o ich zwrot) wybrałem niektóre pozycje i zaznaczyłem na znajdującej się wewnątrz kartce, które pragnąłbym mieć. Czy byłby Pan tak uprzejmy wyświadczyć mi tę grzeczność i sprawdzić u Schlettera, ile z zaznaczonych pozycji jeszcze w ogóle jest. Jednocześnie Pan i Schletter będziecie najlepiej poinformowani, jaką drogą mógłbym najłatwiej te książki otrzymać — czy za pośrednictwem księgarni, czy przez Lipsk lub Leszno.*

*Proszę mi nie brać za złe, iż tak bardzo Pana nagabuję. Jestem chętny i gotów do każdego odwzajemnienia!*

*Z wyrazami szczerego i głębokiego szacunku żegnam Pana dzisiaj, polecając się Pańskiej życzliwej pamięci, która oby nigdy nie wygasła.*

*Wasz, Wielmożny Panie, jak najbardziej posłuszny sługa*
*Gisevius, kaznodzieja ewangelicki*

*Ostróda, 12 września 1847*

# *Rebeka Gizewiusz do J. E. Purkyněgo*

*Wielmożny Panie!*

*Proszę łaskawie wybaczyć tych kilka wierszy, do napisania których nie miałabym odwagi, gdyby nie serdeczny list Pana, który zastał mnie nie przy najlepszym zdrowiu, ale wzruszył bardzo. Nagły wypadek śmierci złamał całkowicie moją, i tak słabą, ochotę do życia. Jeżeli — tak jak ja — od najwcześniejszego dzieciństwa pozbawionym się jest rodziców i rodzeństwa, wtedy serce lgnie ze zdwojoną serdecznością właśnie do męża. Wcześnie wstąpiliśmy w stan małżeński; wspólnie i stopniowo poznawaliśmy powagę życia.*

*Pozostawił mnie młodą i owo opuszczenie odczuwam boleśnie i ciężko, wokół mnie pięcioro sierot, drogich istot, za których rozwój duchowy i fizyczny ja jestem odpowiedzialna.*

*Bardzo chętnie zatrzymałabym tę wspaniałą bibliotekę; czuję się dobrze wśród ciszy martwych książek, a kiedy tracę panowanie, spokój ducha, który muszę ciężko wywalczać dla dobra otoczenia — biblioteka staje się moim azylem.*

*W książkach, szczególnie polskich, tkwi jakiś skarb — po części w nowszej literaturze polskiej, po części w starej — a wśród nich znajduje się wiele raz tylko występujących egzemplarzy. Zwracam się do Pana z prośbą o łaskawą radę. Nikt nie potrafi tutaj docenić tej biblioteki. Zbyt bolesne byłoby dla mnie roztrwonienie tej radości i dumy mojego męża. Czy Śląsk nie byłby dogodniejszym terenem dla spieniężenia tych książek? Gdyby tak było, nie będę się obawiała kosztów transportu i gotowa jestem wysłać dokładny spis. Dochód ten ma mi dopomóc w wykształceniu moich dzieci. Mam tylko jednego synka, ale także dziewczynkom pragnęłabym zapewnić posiadanie skarbu duchowego. Chciałabym, aby rozumiały one życie i pojęły, że szczęścia należy szukać w domu, i w tym domu je znaleźć, a nie na zewnątrz, gdzie niejedno młode serce znajduje gorycz bólu i rozczarowanie. Także i zbiór numizmatyczny, składający się głównie z wartościowych monet złotych i srebrnych polskiego pochodzenia, pragnę poświęcić dla dobra dzieci. Czy znajdą się na to kupcy we Wrocławiu? Z niechęcią oddałabym je do złotnika, gdyż on potraktuje cały ten zbiór tylko jako złom złota i srebra.*

*Jeżeli czas Panu pozwoli i będzie Pan mógł być mi pomocnym, mogę chyba liczyć na łaskawą odpowiedź. Do 3 października adres mój pozostaje bez zmian; od tej daty: Elbląg, Rybacka (Fischerstrasse) nr 6, pierwsze schody w górę.*

*Proszę mnie nie łajać, że z kilku wierszy zrodził się tak długi list; myślę, że nie weźmie Pan tego za złe kobiecie, której głowa pełna jest niespokojnych myśli, a serce pełne troski.*

*Pozostaję ze szczególnym poważaniem*
*Anna Rebeka Gisevius*

*Ostróda, dnia 20 sierpnia 1848*

---

[1]) Stowarzyszenie młodzieży uniwersyteckiej, studiującej we Wrocławiu. Do roku 1850 kierował nim prof. Purkyně, który był jego organizatorem. Działalność Związku nie odpowiadała ani władzom pruskim, ani uniwersyteckim. Od rychłego zlikwidowania chronił go autorytet i powaga prof. Purkyněgo. Rozwiązany na mocy rozporządzenia pruskiego w r. 1886.

[2]) Chodzi o „Kazania na wszystkie święta roku kościelnego", Wrocław, 1844, W. G. Korn.

[3]) Dambrowski Samuel (1577—1625(?)); polski teolog w Wilnie, superintendent polskich i litewskich zborów luterańkich. Słynny kaznodzieja. Autor popularnej Postylli chrześcijańskiej (1621), wzorowanej na postylli ludowej. Na Śląsku znana pod nazwą „Dąbrowa". Mniejszą wartość posiada jego dzieło „Lekarstwa duszne człowieka chrześcijańskiego" (Gdańsk, 1611) oraz śpiewnik „Raj duszny" (Toruń, 1611).

[4]) Johann Albrecht Friedrich Eichhorn (1779—1856) — pruski polityk, a w tym czasie minister oświaty. Marcowa rewolucja 1848 zmusiła go do ustąpienia z urzędu, który piastował od r. 1840.

[5]) [6]) [7]) Rok powstań narodowych, w wyniku których nastąpiło zaostrzenie represji w stosunku do Polaków pod zaborami pruskim i austriackim. 21 lutego tego roku wybuchło powstanie w Krakowie, rozszerzając się na Małopolskę, a 3 marca— w Poznaniu, niezwykle krwawo przez zaborców stłumione.

[8]) Wacław Aleksander Maciejowski (1793—1883), historyk, profesor rzymskiego prawa w Warszawie. Interesował się w późniejszych latach wyłącznie prawem słowiańskim. Jego główne dzieło z tego zakresu to „Historia prawodawstw słowiańskich" (Warszawa, 1832—35). Dzieło, którym sobie zyskał sławę to „Polska do pierwszej połowy XVII wieku" (Warszawa, 1842). Utrzymywał przyjazne stosunki z prof. Purkyně (podczas jego pobytu na uniwersytecie we Wrocławiu, a później w Pradze), z dyrektorem muzeum czeskiego — W. Hanką, z poetą czeskim Czelakowskim, z Rosjaninem Pogodinem i z wielu innymi osobistościami.

[9]) Adryan Krzyżanowski (1788—1852), polski matematyk i profesor na Uniwersytecie Warszawskim.

[10]) „Zarys dziejów zakonu maltańskiego w Polsce", Album Warsz. 21.V.1845, str. 186—219. Specjalna odbitka artykułu Krzyżanowskiego ukazała się w Warszawie, 1845, pt. „Zakon Maltański w Polsce".

[11]) Gustaw Adolf Harald Stenzel (1792—1854), historyk niemiecki. W r. 1815 uzyskał doktorat filozofii i habilitował się w Lipsku. W r. 1820 powołany na nadzwyczajnego profesora do Wrocławia, otrzymał profesurę zwyczajną w 1827. Od 1821 r. był naczelnikiem Archiwum Śląskiego.

[12]) Czelakowski Franciszek Władysław (1799—1852). W latach 1841—49 profesor literatur słowiańskich we Wrocławiu. Jego działalność na uniwersytecie nie przyniosła specjalnych wyników. Miał mało słuchaczy, a władze uniwersyteckie nie szły mu na rękę.

[13]) Mowę tę wygłosił ks. Fiedler 5.XII.1844 r. na Synodzie ewangelickim we Wrocławiu. Tekst pełny przemówienia zamieścił Tygodnik Literacki (nr 34) oraz miesięcznik „Rok".

[14]) Sądzić należy, że jest to Dydaktyka czeska, którą przez długi czas uważano za zaginioną. Rękopis powyższy znalazł Purkyně w Lesznie, w roku 1841.

# Nota redakcji

Publikowane wyżej materiały uzyskaliśmy dzięki uprzejmości p. dr Wandy Javořinovej-Piastowskiej i p. dr W. Jelinka z Pragi Czeskiej. Oboje są czytelnikami i przyjaciółmi „Jednoty", oboje żywo interesują się Kościołem ewangelickim w Polsce oraz związkami kulturalnymi polsko-czeskimi. Ich artykuły i opracowania umieszczane w różnych pismach i książkach stanowią dowód szlachetnego umiłowania wspólnej a tak niekiedy trudnej walki o zachowanie najlepszych wartości duchowych naszych narodów, dowód tego, że i dzisiaj warto pracować w imię zbliżenia i przyjaźni tak bliskich sobie narodów.

Redakcja „Jednoty" składa p. dr W. Javořinowej i p. dr W. Jelinkowi najserdeczniejsze podziękowanie za udostępnienie materiałów, oraz życzenia dalszej owocnej pracy na polu prowadzonych badań literackich i historycznych.

*RED.*

# Maria Dąbrowska 1889-1965

Przed trzema laty uroczyście obchodzono w naszym kraju jubileusz 50-lecia pracy literackiej znakomitej pisarki, klasyka polskiej prozy — Marii Dąbrowskiej. Przed trzema zaś miesiącami śmierć autorki głęboko poruszyła wszystkich czytelników Jej dzieł. Tego, co oznacza nazwisko Dąbrowskiej w literaturze i kulturze polskiej nie trzeba powtarzać. Luka, jaka po Jej śmierci powstała, nie zostanie prędko wypełniona.

Jednym z największych uroków książek Marii Dąbrowskiej była niezwykła obfitość wiedzy o świecie i człowieku, rzadko spotykane bogactwo wydarzeń, realiów i szczegółów ludzkich przeżyć, uczuć i wrażeń. Wszystkie Jej utwory cechował charakterystyczny, pełen życzliwości stosunek do człowieka.

Dąbrowska umiała połączyć w swej twórczości najlepsze tradycje epok minionych; bogactwo przeszłości wyrazić w najpiękniejszej polszczyźnie, w całej szerokiej gamie nowoczesnego języka. Epicki ton prozy Dąbrowskiej brzmi czysto i dźwięcznie, nawiązując do najlepszych osiągnięć Orzeszkowej, Prusa, Żeromskiego, ale zachowując jednocześnie jedyny, charakterystycznie spokojny, niepowtarzalny i odrębny dźwięk. Julian Przyboś w 1962 roku na Sesji Naukowej określił ten język jako „idealną mowę zwyczajną".

We wspomnieniach o Marii Dąbrowskiej, jakie zamieściła nasza prasa i radio, ukazała się Pisarka swym czytelnikom jako człowiek, człowiek otoczony powszechnym szacunkiem i sympatią tych, którym dane było znać Ją osobiście. Wielu ludzi z prawdziwym żalem żegnało Marię Dąbrowską, towarzysząc Jej w ostatniej drodze na cmentarz powązkowski, gdzie zwłoki pisarki spoczęły w pobliżu grobu Leopolda Staffa.

Kazimierz Wyka, snując refleksje, jakie kolejno nasuwały mu się podczas pogrzebu pisarki, powodując, że „zaszła zmiana w scenach (...) widzenia"[2]), kończy to ciepłe wspomnienie takimi słowami:

"Godzina była piękna i słoneczna. Cmentarz zatłoczony zwykłą publicznością i najwybitniejszymi w kulturze polskiej nazwiskami. Kiedy kończyły się przemówienia, nagle wśród świeżej i niedawnej w obecnej wiośnie zieleni odezwała się wilga.

Ponad żalem górowała ta prosta i oczywista świadomość: gdziekolwiek w naszej ojczyźnie była za swego życia, gdziekolwiek znajduje się obecnie, Maria Dąbrowska w tym kraju jest zawsze u siebie w domu. W „Nocach i dniach", fakt ten traktując stale jako zwykłe, choć nieodwracalne ogniwo między otchłanią zwaną bytem i nicestwem, pisarka opisała kilka pogrzebów. Jest taki jeden, o którym nie wiem, czy wszyscy czytelnicy tej powieści go pamiętają. Kiedy rychło umiera dziecko Stasi Łuczaczki i Klimeckiego, a matka po chłopsku i prosto pociesza córkę, choć nie filozof, świadoma ogniwa między bytem i nicestwem:

Nie masz co płakać. Już ona nie twoja, tylko ziemina. Ziemia jest jej matką".

[1]) Kazimierz Wyka: Stare Powązki, Życie Literackie, R. XV, nr 22

[2]) Autor nawiązuje do tytułu jednego z opowiadań M. Dąbrowskiej w zbiorze „Gwiazda zaranna" i refrenu w Mickiewiczowskim przekładzie "Snu" Byrona.

# K. C. MRONGOWIUSZ
## w służbie umiłowanego języka

W badaniach nad kulturą i piśmiennictwem polskim na Pomorzu i w Gdańsku nie można pominąć czołowej postaci propagatona języka polskiego i polskiego protestantyzmu, Krzysztofa Celestyna Mrongowiusza (1764—1855), ma on bowiem wielkie i trwałe zasługi wśród postaci, które chlubnie zapisały się w historii kultury polskiej Pomorza w XIX wieku.

Krzysztof Celestyn Mrongowiusz urodził się 19 lipca 1764 r. w Olsztynku jako pierwszy syn pastora Bartłomieja Mrongowiusza, wywodzącego się ze starej chłopskiej rodziny mazurskiej, Mrongów. Ludności mazurskiej pozostawiono możliwość rozwoju gospodarczego, ale wszelki awans w życiu publicznym był uzależniony od przyjęcia niemczyzny. Położenie nielicznej inteligencji mazurskiej, którą w XVIII wieku reprezentowali przede wszystkim duchowni, było szczególnie ciężkie. Choć wychowana w języku polskim, bardzo często przez studia zagraniczne i dłuższy pobyt na obczyźnię, wynarodawiała się szybko. Inteligencja ta studiując w Królewcu zasilała zarówno stan duchowny jak i urzędniczy tych ziem. Szlachta poprzez służbę wojskową ulegała germanizacji. Tak więc krzewienie znajomości języka polskiego u swych ziomków przypadło w udziale tym Mazurom, którzy nie zerwali kontaktów z ziemią ojczystą i z otoczeniem, a pogłębiali je przez studia i samodzielną pracę.

Pobyt i działalność Mrongowiusza w Królewcu przypada na lata 1780—1798. Wywarł on duży wpływ na skrystalizowanie zainteresowań i poglądów oraz na ukształtowanie się całej formacji umysłowej młodego Mazura. Szybko rosła o Mrongowiuszu opinia znakomitego polonisty. Na jego umiejętności poczynają zwracać uwagę nie tylko coraz liczniej zgłaszający się dorośli uczniowie, Polacy i Niemcy, ale również i władze. Zlecono mu urzędowe tłumaczenia rozporządzeń i regulaminów. Mrongowiusz pełnił nadto funkcje korektora druków polskich wydawanych w Królewcu i w Kwidzyniu. W latach 1791—1795 wydaje Kalendarz Pruski Polski. Propagandy wartości i piękna języka polskiego nie zaniechał Mrongowiusz już do końca swego życia.

W 1798 r. przenosi się do Gdańska i obejmuje urząd kaznodziei w kościele św. Anny. W ten sposób rozpoczął się drugi okres życia Mrongowiusza, okres gdański, który związał go trwale z tym miastem i jego losami. Były to lata niezwykle intensywnej pedagogicznej, naukowej i duszpasterskiej pracy, które ze skromnego duchownego ewangelickiego stworzyły nieprzeciętną postać w dziejach kultury polskiej XIX wieku. Mrongowiusz na nowym terenie kontynuował w formie jeszcze bardziej rozwiniętej działalność wydawniczą. Napisał szereg prac o charakterze religijnym i naukowym, które miały duże znaczenie dla szerzenia słowa polskiego wśród władającej tym językiem ludności okolic Gdańska i na Mazurach. Mrongowiusz stał wiernie na swym posterunku w Gdańsku nawet wtedy, kiedy ze strony władz nie szczędzono mu szykan i trudności.

Trudno oprzeć się wielkiemu podziwowi dla niezmordowanej energii Mrongowiusza, który do końca życia nie wypuszcza pióra z dłoni, zasilając polski żywioł ewangelicki Pomorza Mazurskiego i Gdańskiego religijną strawą w ojczystym języku. Ponadto na lata czterdzieste przypada współpraca z pastorem Gizewiuszem. Schyłek życia przynosi Mrongowiuszowi zaszczyty. Król pruski odznacza go orderem, a Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu, prawdopodobnie na wniosek Adama Mickiewicza, mianuje go swoim członkiem. Ostatnie lata Mrongowiusza nadal wypełniają obowiązki duszpasterskie kościoła św. Anny i praca nauczycielska. Śmierć przerywa ofiarne pasmo jego życia. Skromny pogrzeb i mała grupa odprowadzających go na polski cmentarz Salwatora, na stoku wzgórza po lewej stronie Raduni, złożona z duchownych, wiernych i młodzieży, symbolizować mogła prostotę i skromność Mrongowiusza jaką przejawiał w całym swoim życiu.

Z okazji 200 rocznicy urodzin tej niezmiernie ciekawej postaci dr Wiesław Bieńkowski opracował i staraniem Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Pojezierze wydał w 1964 r. w Olszynie piękną książkę pt. „K.C. Mrongowiusz w służbie umiłowanego języka" (stron 252). Dr W. Bieńkowski jest autorem szeregu prac o Mrongowiuszu. Ta zaś ostatnia jest ich ukoronowaniem. Autor nie powtarza w niej tego, co już wcześniej on i inni powiedzieli, ale stara się spojrzeć na Mrongowiusza pod całkiem nowym kątem. Po wstępnym nakreśleniu losów Mrongowiusza, przedstawia jego społeczne poglądy i badania etnograficzne, aby w ostatnim rozdziale rozwinąć obraz służby Mrongowiusza dla umiłowanego języka. Praca dr W. Bieńkowskiego posuwa daleko naprzód badania nad życiem i dziełem Mrongowiusza. Niemal połowa książki to przypisy, dokładna bibliografia dzieł Mrongowiusza i indeks nazwisk, co wymownie świadczy jak poważnie i naukowo potraktował autor postać ewangelickiego księdza i szermierza języka polskiego na Pomorzu, którą darzy wyraźną sympatią. Szkoda tylko, że ze wszech miar cenna praca dr W. Bieńkowskiego ukazała się w stosunkowo niskim nakładzie i to metodą powielania. Zasługuje bowiem na większy nakład i na lepszą szatę graficzną.

WOJCIECH WRZOS

## WŚRÓD KSIĄŻEK

# HUIZINGA o Erazmie z Rotterdamu

*W ubiegłym roku nakładem PIW ukazała się książka Johana Huizingi, profesora uniwersytetu w Lejdzie, będąca monografią o wielkim uczonym i myślicielu doby Odrodzenia — Erazmie z Rotterdamu.*

*Pierwsze wydanie dzieła nastąpiło w roku 1924 w Haarlemie i wywołało duże zainteresowanie ówczesnych historyków kultury, przyczyniając się też do ożywienia badań naukowych nad osobą wybitnego Holendra. Dzieło Huizingi doczekało się wielu tłumaczeń i edycji. Wydane przez PIW, jest pierwszym przekładem na język słowiański.*

*Ogromnie ciekawa i pożyteczna to książka dla każdego, kto choć trochę interesuje się historią kultury. Postać Erazma — którego nazwisko niczym szyld reklamuje epokę Odrodzenia, stając się symbolem postępowej myśli ludzkiej — jest niezwykle skomplikowana i złożona. Z monografii Huizingi spogląda żywy Erazm z Rotterdamu. Plastycznie, sugestywnie i żywo ukazał autor postać uczonego holenderskiego, silnie akcentując zróżnicowaną psychologicznie osobowość myśliciela.*

*Wśród spraw i problemów przewijających się w tej książce, wiele miejsca poświęcono stosunkowi Erazma do Kościoła. Po wystąpieniu Lutra Erazm pragnął przyjąć rolę łagodzącego mediatora, lecz wkrótce okazało się, że jest to niemożliwe. Jego sława była już wielka, a nazwisko znane powszechnie. Nie sprzyjało to zachowaniu neutralności. Świat żądał, by Erazm zajął określone stanowisko wobec rozgrywających się wydarzeń. Rotterdamus broni się przed napisaniem czegokolwiek przeciwko Lutrowi, lecz także usilnie zapewnia, że z Lutrem nic wspólnego nie ma. Gdy w kwietniu 1521 r. Luter na zgromadzeniu w Wormacji obstając przy swoich przekonaniach, Erazm tak o tym pisze: „Gdybym był przy tym obecny, uczyniłbym, co tylko w mej mocy, żeby tragedię tę przez pełne umiaru postępowanie tak załagodzić, iżby nie mogła później ponownie wybuchnąć na jeszcze większą szkodę całego świata".*

*Gdy ataki ze strony konserwatystów, skupionych w Lowanium nie ustawały, Erazm, pod pretekstem przygotowania trzeciego nakładu jego Nowego Testamentu, opuszcza to miasto (28.X.1521) i udaje się do Bazylei. „Nie ze względu na fizyczne bezpieczeństwo własne opuścił ten kraj — pisze Huizinga — Nic tak łatwo odważono by się tknąć Erazma; zbyt cenną stanowił figurę w tej szachowej rozgrywce. Widział jednak niebezpieczeństwo, jakie groziło duchowej jego niezależności, którą cenił sobie ponad wszystko i chcąc ją zachować, nie powrócił już do Lowanium".*

*Erazm pragnął za wszelką cenę pozostać wierny Kościołowi katolickiemu. Jednakże nie uświadamiał sobie, że „własne jego pojęcia dotyczące Kościoła, sakramentów, dogmatyki, nie były już czysto katolickie, ponieważ podporządkował je swym przekonaniom fologicznym".*

*Analizując dalej postępowanie Erazma względem Lutra — ciągłe wahanie się pomiędzy wyparciem się a uznaniem reformatora — Huizinga ciekawie tłumaczy to niezdecydowanie cechami psychicznymi osobowości Rotterdamusa. „Jest ono konsekwencją tragicznej skazy cechującej całą jego osobowość: nigdy nie mógł, czy też nie chciał, wyciągnąć ostatecznych konsekwecji .Gdyby był jedynie wyrachowanym i egoistycznym człowiekiem, lękającym się o swoje własne marne życie, znacznie wcześniej wyparłby się już sprawy Lutra. Nieszczęściem dla oceny historii jest to, że Erazm stale ukazuje wszystkie swoje słabe strony — podczas gdy to, co wielkie, tkwi w nim głęboko ukryte". I dalej pada kapitalne stwierdzenie, świetna, subtelna charakterystyka osobowości Erazma: „Jako typ duchowy należy Erazm do raczej rzadkiej grupy tych, którzy są jednocześnie bezwzględnymi idealistami i ludźmi na wskroś umiarkowanymi. Nie potrafią oni znieść niedoskonałości świata, muszą się sprzeciwiać; lecz przy wszelkich skrajnościach czują się nieswojo, bojaźliwie cofają się przed czynem, ponieważ wiedzą, iż czyn zawsze tyleż samo niszczy, co buduje; wycofują się tedy i dalej wołają, że wszystko powinno stać się inne;*

*lecz gdy nadchodzi chwila decyzji, ociągając się wybierają pozycję po stronie tradycji i tego, co już istnieje. I na tym także polega częściowo tragedia życia Erazma: był on człowiekiem widzącym to, co nowe i nadchodzące, lepiej niż ktokolwiek inny: musiał więc skłócić się z tym, co stare, a jednak nie mógł schwycić tego, co nowe. Dążył do pozostania w Kościele, z chwilą gdy wyrządził mu już niebywałą szkodę, a wypierał się Reformacji i w pewnej mierze również i humanizmu, z chwilą gdy przyczynił się już niezmiernie do rozwoju ich obu".*

*Nie wszystkie tezy Huizingi spotkały się z aprobatą uczonych i badaczy. Do dziś np. trwają polemiki w kwestii postawionej przez autora, że Erazm nie miał na temat Kościoła czysto katolickich poglądów. Jedni uczeni popierają tę tezę, inni przedstawiają Rotterdamczyka jako lojalnego syna Kościoła. Wiele od czasu napisania tej książki uczyniono uzupełnień i sprostowań, tym nie mniej monografia ta jest ciągle świeża i aktualna, a niektóre stwierdzenia i wnioski autora — wręcz kapitalne.*

*Najciekawszym rysem dzieła jest to, że autor spojrzał na Wielkiego Erazma poprzez pryzmat jego natury, dając plastyczną, obrazową charakterystykę uczonego, który po przeczytaniu tej książki przestaje być dla nas n a z w i s k i e m, a nabiera ciepłych, żywych cech znajomego i bliskiego c z ł o w i e k a.*

*B. S.*

## WŚRÓD KSIĄŻEK

# CO PISZĄ INNI

## Ekumeniczny dialog
### między pastorem M. Boegnerem i O. Danielou

Pod takim tytułem „Słowo Powszechne" donosi o dialogu, jaki odbył się pomiędzy wybitnym pastorem Kościoła reformowanego we Francji, członkiem Akademii Francuskiej, ks. Markiem Boegnerem a znanym teologiem rzymskokatolickim, ojcem Danielou. Według informacji „Słowa", dialog „nie był jakąś zwykłą formalnością, jak to się zdarza niekiedy w tego rodzaju spotkaniach. Sprawy drażliwe zostały poruszone z największą otwartością".

„Pastor Boegner przypomniał negatywne stanowisko, zajęte przez papieża Benedykta XV w stosunku do ruchu ekumenicznego i wyraził radość ze zmiany poglądów na ten temat, dokonanej przez papieża Jana XXIII. O. Danielou odpowiedział mu, że początkowo ruchowi ekumenicznemu groziło niebezpieczeństwo liberalizmu doktrynalnego, podczas gdy prawdziwa jedność nie może się dokonać na podstawie jakiegokolwiek kompromisu. Wyraził on głębokie uznanie dla Karola Bartha — jak powiedział — „największego teologa naszej epoki", jak również dla Oscara Cullmanna. Następnie O. Danielou wspominiał o „ponurej historii" wschodniej schizmy i wielkiej odpowiedzialności, jaką ponosi za nią Kościół katolicki. Jeżeli chodzi o Lutra, „tego wielkiego geniusza religijnego, który słusznie uważał, że należy zreformować Kościół", to O. Danielou stwierdził, iż handel odpustami, rozluźnienie dyscypliny duchowieństwa i „jałowość" scholastyki usprawiedliwiały pragnienie reformy. Całą tragedią było jednak to, że reforma nie dokonała się w jedności, zarówno z winy jednych, jak i drugich.

„Przestaliśmy usztywniać nasze wzajemne stanowiska. Zrozumieliśmy, że się w pewnym stopniu uzupełniamy. Nie chodzi o to, byśmy się wzajemnie integrowali, lecz bysmy zdefiniowali nasze własne stanowisko wobec Pisma Świętego i wobec tego, co Chrystus chciał ustanowić" — powiedział O. Danielou."

Pastor M. Boegner stwierdził, że „dogmaty Niepokalanego Poczęcia i Wniebowzięcia nie wydają się mu mieć uzasadnienia w Piśmie Swiętym, natomiast że uważa za wspaniałą eklezjologię, emanującą z konstytucji „O Kościele", która nie zaczyna się od mówienia o Hierarchii, lecz o tajemnicy Bożej i o laikacie". Pastor Boegner stwierdził równocześnie, że nie zgadza się zupełnie na prymat papieski „w jego obecnej formie", jak również na osobistą nieomylność biskupa Rzymu".

Ks M. Boegner wspomniał również „o nadziei, jaką wzbudzają w nim niecierpliwie oczekiwane postanowienia papieskie w sprawie małżeństw mieszanych".

Z zadowoleniem odnotowujemy ten fakt cytując za „Słowem Powszechnym" dla podkreślenia, że pomimo wielu poważnych zastrzeżeń, jakie mamy wobec Kościoła katolickiego w Polsce, zachodzą objawy zmiany klimatu międzywyznaniowego. Prasa katolicka, która dociera do szerokich rzesz czytelników, wywiera z pewnością wpływ na kształtowanie poglądów i w sposób pozytywny je koryguje torując drogę myśleniu ekumenicznemu.

Warto podkreślić dwa fragmenty wypowiedzi O. Danielou, mianowicie uznanie dla dwu wybitnych teologów ewangelickich, Karola Bartha i Oscara Cullmanna, oraz określenie Lutra, jako „wielkiego geniusza religijnego". Zwłaszcza na terenie polskiego katolicyzmu musi to być określenie rewolucyjne. Skok od herezjarchy, mnicha, który się chciał ożenić, który paktował z diabłem, do „wielkiego geniusza religijnego", jest ogromny. Słychać o tym, że w Kościele rzymskim mówi się o rehabilitacji Jana Husa. Czy wypowiedź O. Danielou nie jest jednym z głosów na drodze do rehabilitacji Marcina Lutra? Myśl to chyba zbyt śmiała.

red.

## Ataki na ewangelickich teologów w NRF

Marian Podkowiński, stały korespondent Trybuny Ludu w Bonn pisze (Trybuna Ludu, 30. 05. 65) o XII zjeździe ewangelickiej grupy CDU/CSU, w czasie którego zaatakowano ewangelickie koła w NRF. „Bezpośrednim powodem do niezwykle ostrego ataku von Hassela (ministra obrony, przyp. red.), było stanowisko młodego teologa z uniwersytetu w Moguncji, prof. Pannenberga: należy jego zdaniem uznać granicę na Odrze i Nysie i szukać porozumienia z Polską.

„Ponieważ dyskusja wykazała, że prof. Pannenberg nie jest bynajmniej odosobniony w swojej postawie politycznej i moralnej, rozprawę z tzw. postępowym skrzydłem ewangelickim w CDU powierzono w ręce von Hassela.

„Prawie połowę swego godzinnego referatu poświęconego zagadnieniom wojskowym i bezpieczeństwa von Hassel przeznaczył oskarżaniu rozmaitych kół ewangelickich o dywersję i rozkład wewnętrzny. Zaatakował on przy tym te wszystkie koła w NRF, które pragną pokojowych stosunków ze Wschodem i zwalczają atomowe zbrojenia NRF.

„Jest wśród ewangelików niemała ilość ludzi łatwowiernych lub zaślepionych, którzy idą na pasku propagandy wroga — powiedział von Hassel — dla tych ludzi prawdziwym chrześcijaninem jest ten, który odmawia służby w wojsku, a kapelan wojskowy jest pomocnikiem szatana."

„Wynikiem takiego nastawienia wśród wielu duchownych i świeckich działaczy ewangelickiego kościoła... jest sytuacja, w której zwłaszcza młodzież studencka zostaje „zdeprawowana" i wykpiwa pojęcie ojczyzny oraz obowiązku obywatelskiego".

# LISTY • LISTY • LISTY

## Księże Redaktorze!

*Doniosłe znaczenie ruchu ekumenicznego dla całego chrześcijaństwa, dla wszystkich Kościołów, niewątpliwie nie podlega dyskusji. Ekumenia — to przejaw wzajemnego zrozumienia, to wyraz szczególnego braterstwa łączącego wszystkich wyznawców Jezusa Chrystusa, którzy poczuwają się — mimo dzielących ich barier doktrynalnych — do jedności. „Aby wszyscy byli jedno...". Te słowa do czegoś obligują. Dlatego też widok duchownych różnych wyznań, zebranych u stóp krzyża Chrystusowego w jednej świątyni i wzrusza i krzepi nadzieją na przyszłość. A gdy w dodatku w takich chwilach do ekumenicznej rodziny „braci odłączonych" zechcą dołączyć się i bracia rzymscy, czegóż jeszcze, na obecnym etapie, w dążeniu ku jedności, można pragnąć?*

*Niestety, nasi rzymscy bracia — przynajmniej tu, w Polsce — w swych poczynaniach ekumenicznych postępują według ewangelicznej (a jakże!) zasady: nie wie lewica, co czyni prawica. Chodzi tu naturalnie przede wszystkim o duchowieństwo, bo „rzymski" lub kościelny właściwie nie ma wiele do powiedzienia w sprawach swego Kościoła. A więc — nazwijmy tak — ich lewica organizuje nawet „własne" nabożeństwa ekumeniczne, gdzie słyszy się dużo na temat jedności, braterstwa, miłości. Występują tu i ówdzie na nich „odłączeni bracia" — duchowni (nota bene podwójnie odłączeni, bo na swoistą ekumenię nie mają placet żadnego Kościoła, poza rzymskim naturalnie). Jednocześnie zaś „prawica" godzi „prawym sierpowym" w „innowierców", którzy znajdują się zagubieni w środowisku katolickim. Przesada? Demagogia? Ależ skąd! Znam rodzinę ewangelicką, zamieszkałą na terenie tzw. „zielonej Warszawy". Dwoje dzieci uczęszczających tam do szkoły (znajdującej się w pobliżu domu) dużo może powiedzieć na temat, jak wygląda rzymskokatolicka ekumenia na codzień. Co jakiś czas zdarza się, że rówieśnicy (a więc dzieci w wieku lat ośmiu), a także i starsi koledzy i koleżanki, przypominają im, że są „inni", „obcy". A czynią to w sposób dotkliwy (dosłownie!), tak jak to potrafią dzieci w tym wieku. Ale naturalnie dzieci nie można winić wówczas, gdy i starsi, ci którzy byliby zobowiązani do właściwego pokierowania dziećmi, milcząc, niejako udzielają aprobaty, a wiedzą zapewne przecież o co w tym wszystkim chodzi.*

*Oczywiście dziś, zwłaszcza w Warszawie, nie można sobie pozwolić na jakieś pogromy „heretyków", jak to drzewiej bywało. Ale ostatecznie przy „dobrych" chęciach można i nie naruszyć jawnie praw konstytucyjnych, gwarantujących wolność wyznania i jednocześnie „odłączonym braciom" nieźle dać się we znaki. Jak to można robić, wiedzą już wspomniane dzieci, które na codzień żyją w idealnej izolacji (to przecież nie sprzeciwia się wolności wyznania!) wśród swoich rówieśników i w szkole, i wśród dzieci mieszkających w tym samym domu, na tym samym podwórku. No cóż, „odłączeni bracia"!*

*Wszystko to zdawałoby się nie do pomyślenia dziś, gdy tyle mówi się po stronie rzymskiej o ekumenii, o dialogu, w Warszawie, gdzie odbywają się wymienione wyżej ekumeniczne spotkania. A jednak...*

*Jestem przekonany, że takich przykładów praktycznej ekumenii znalazłoby się dużo więcej, a może i bardziej drastycznych. Dlatego obawiam się, aby ów rzymskokatolicki dialog ekumeniczny nie przemienił się z czasem li tylko w... monolog!*

*Chyba po licznych a budujących deklaracjach słownych można oczekiwać jakiejś realizacji na codzień pięknych idei i haseł?*

*Janusz ANDRZEJEWSKI*

## Do redakcji

Przed paru laty, w okresie kiedy bohaterem dnia był kosmonauta Gagarin, udało mi się przeczytać w pewnym czasopiśmie, wydawanym przez jedno z mniejszych protestanckich ugrupowań religijnych, stwierdzenie, że Gagarin bynajmniej nie jest pierwszym kosmonautą, bo przecież już tysiące lat temu pierwszą podróż kosmiczną odbył Jezus w dniu swego wniebowstąpienia.

Stwierdzenie to było dla mnie prawdziwym szokiem. Wprost nie mogłem pogodzić się z tym, że taką rzecz ktoś mógł napisać, ktoś inny zatwierdzić i przyjąć do druku. Nawiązałem pewien kontakt ze wspomnianym ugrupowaniem, musiałem bowiem zobaczyć tego człowieka, usłyszeć go jak przemawia. Znajomi moi, którym mówiłem o wspomnianym artykule, po prostu nie wierzyli mi i uważali, że „nabieram ich" zwyczajnie. Po przeczytaniu artykułu reagowali mniej więcej tak samo jak i ja.

W numerze 9 „Jednoty" z ub. roku ks. dr E. Jelinek, omawiając współczesne prądy teologiczne, pisze: „Nie podobna przecież dzisiejszego człowieka przekonać o trójdzielności świata, jak to sobie wyobraża Nowy Testament, w postaci nieba, piekła i ziemi".

Czy przytaczam to po to, aby stwierdzić, że ks. Jelinek myli się? Wprost przeciwnie! Myślę, że ks. Jelinek może nawet nie dopowiedział wszystkiego. Dzisiejszego człowieka nie tylko „nie podobna przekonać o trójdzielności świata", ale nawet trudno go przekonać, że ktoś może mieć jeszcze dziś podobne poglądy.

O cóż mi więc chodzi? Po prostu o to, że aczkolwiek to, co pisze ks. Jelinek, jest co najmniej słuszne, to jednak w praktyce dzieje się coś zupełnie innego.

Kościoły jak gdyby nic nie wiedziały o tym, że człowiek i sposób jego myślenia gruntownie się zmieniły, i w dalszym ciągu, w słowach które głoszą swym wiernym, zupełnie wyraźnie obok prawd moralnych, a więc czegoś w pewnym sensie ponadczasowego, podają im rów-

*Zamieszczając list naszego Czytelnika, pragniemy zwrócić uwagę na przykre fakty dyskryminacji religijnej, jakich ciągle jesteśmy świadkami, pomimo stale rozszerzającego się ruchu ekumenicznego, który powoli toruje sobie drogę do społeczności rzymskokatolickiej. Coraz więcej myślących ludzi zaczyna zdawać sobie sprawę z istoty tego ruchu. Z powszechną aprobatą spotkała się działalność i wypowiedzi szlachetnego papieża Jana XXIII, znane są wysiłki poważnych ekumenistów katolickich. Polska prasa katolicka poświęca tym zagadnieniom bardzo wiele miejsca. Tym nie mniej trudno oczekiwać radykalnych zmian w umysłowości katolickiej na przestrzeni krótkiego czasu. Wszak kontrreformacyjne uprzedzenia zakorzenione są bardzo głęboko. My, ewangelicy, musimy o tym pamiętać i uzbroić się w cierpliwość, a tymczasem, z konieczności znosić, choć ciężko to przychodzi, pozostałości fanatyzmu religijnego. Nie znaczy to jednak, że się z tym godzimy. I dlatego sygnalizujemy i będziemy sygnalizowali fakty podobne do opisanego w liście do redakcji.*

*RED.*

nież sformułowania światopoglądowe, do których „dzisiejszego człowieka nie podobna przecież przekonać".

Dotyczy to wszystkich Kościołów (z wyjątkiem tylko Kościoła unitarian). Nasz Kościół również nie stanowi wyjątku, mimo że przecież kiedyś sam się nazwał „ecclesia... semper reformanda".

Jest to tym bardziej zastanawiające, że przecież już od ponad stu lat w teologii stale jest reprezentowany nurt postępowy, opowiadający się za daleko idącą akcją rewizjonistyczną w stosunku do odwiecznych sformułowań nauki kościelnej. Jest to jednak, jak dotąd — głos wołającego na puszczy. W praktyce życia kościelnego nie znajduje on żadnego odzewu.

Przytoczony na wstępie artykuł dowodzi, że jednak są między nami jednostki tkwiące myślowo w epoce wczesnego średniowiecza, choć wydaje nam się to nieprawdopodobne. Nie mniej nikt nie zdoła przekonać mnie, że stanowią oni coś więcej, niż sporadyczne wyjątki, nie mogące mieć żadnego wpływu na ogół. Przeciętny człowiek z niedowierzaniem przyjmuje wiadomość o możliwości istnienia takich jednostek. Myślę, że może najistotniejszą okolicznością dla omawianego tu problemu jest stanowisko duchownych. Pod tym względem posiadam niejakie doświadczenie, gdyż z 15 osób, jakie mogę tu brać pod uwagę, prowadziłem szczere, prywatne rozmowy na tematy religijne z dziewięcioma. Stanowi to bądź co bądź 60% . (Chcę tu podkreślić, że nie mam na myśli żadnego z duchownych obecnie pracujących w Kościele).

Otóż spośród tych dziewięciu moich rozmówców ani jeden nie opowiadał się za mitycznymi sformułowaniami Kościoła — a przeciwnie — w prywatnych rozmowach zdecydowanie stali na stanowisku teologii postępowej. W ich wystąpieniach publicznych nigdy jednak niczego podobnego nie udało mi się usłyszeć. Na mój zarzut dwulicowości, otrzymałem kiedyś zupełnie spokojną odpowiedź, że duchowny z ambony nie głosi swoich osobistych przekonań, a tylko oficjalną naukę Kościoła.

Tak więc, jak się wydaje, mogą istnieć w Kościele dwie różne prawdy: jedna to mityczna nauka o sprawach „o których przecież nie podobna dzisiejszego człowieka przekonać" i druga, którą jeden z nieżyjących już duchownych naszego Kościoła sformułował tak: „każdemu z nas wolno mieć swoje osobiste, prywatne poglądy, które w sposób zgodny z wymaganiami zdrowego rozsądku, rozwiązują zagadnienia religijne...".

Te dwie odmienne prawdy, jedna „prywatna" i druga „oficjalna" to dla mnie osobiście jednak za wiele.

Nie mogę pogodzić się z tym, aby w Kościele można było tłumaczyć Słowo Boże inaczej na użytek prywatny, a inaczej na użytek publicznego nabożeństwa.

To jest zasadnicza strona tego zagadnienia, ale oprócz niej istnieje jeszcze druga, natury raczej praktycznej. Otóż o tym, że „każdemu z nas wolno mieć swoje osobiste, prywatne poglądy" nikt prawie nie wie. Współwyznawcy nasi, wychowani w środowisku katolickim i sami mający mgliste pojęcie o swym wyznaniu, skłonni są zazwyczaj patrzeć na naukę Kościoła jako na zbiór dogmatów, równie niewzruszonych jak katolickie. Nikomu przeważnie nie przychodzi na myśl, że w istocie są to uchwały synodów (z w. XVI), które mogą być również przez uchwałę synodu zmienione, jeśli uznamy tego potrzebę. Dlatego przeciętny nasz współwyznawca, o ile znajduje się na tym stopniu rozwoju myślowego, na którym „nie podobna już przekonać go o trójdzielności świata" stwierdził, że jego świat i pojęcia jakimi operuje Kościół to zupełnie różne dwa światy — po prostu odwraca się od Kościoła. Niejednokrotnie czyni to niechętnie, wbrew istotnym pragnieniom, ale po prostu nie widzi innego wyjścia.

To, jak sądzę, jest najpowszechniejszą i najoczywistszą przyczyną gromadnego zrywania z Kościołem, przede wszystkim ze strony ludzi, którzy z uwagi na swój poziom, mogliby być dla Kościoła pożytecznymi członkami.

Tymczasem kościoły pustoszeją coraz bardziej i dlatego sądzę, że czy wcześniej, czy później trzeba będzie podjąć dyskusję nad poruszonym tu zagadnieniem.

S. G.

## LUTERANIE A KATOLICY

**W kwietniu br. odbyła się na Słowacji IV Konferencja Luterańskich Kościołów Mniejszościowych Europy, której przewodniczył ks. bp Andrzej Wantuła, wiceprezydent Światowej Federacji Luterańskiej.**

**Konferencja, której temat główny brzmiał: „Luteranizm a katolicyzm", zgromadziła przedstawicieli 18 państw Europy.**

**W następnym numerze „Jednoty" ukaże się artykuł szczegółowo informujący o tym wydarzeniu.**

# MŁODA JEDNOTA

*REDAKCJA PRZYPOMINA!*

*Kilkunastoosobowe grono młodych ludzi zwróciło się do Redakcji z prośbą o umożliwienie im przedstawienia na łamach „Jednoty" niektórych wyników swoich rozważań i dyskusji. Wyniki te są podawane w formie serii artykułów, które ukazują się pod nagłówkiem Młodej Jednoty. Poniższy artykuł jest drugim z tego cyklu. Pierwszy nosił tytuł „Dyskutować, czy nie dyskutować" i był zamieszczony w 6 numerze naszego miesięcznika.*

*Ponieważ niektóre sformułowania zawarte w tych artykułach wydają się być mocno kontrowersyjne, Redakcja zastrzega sobie prawo ustosunkowania się do nich po zakończeniu cyklu, a jednocześnie zwraca się do Czytelników z prośbą o nadsyłanie swoich uwag i wypowiedzi, o włączenie się do dyskusji nad tymi niewątpliwie interesującymi problemami, które nurtują naszą młodzież.*

## Co to znaczy wierzę?

Z góry uprzedzamy: w artykule tym nie mamy zamiaru rozpatrywać postawy ludzi wierzących, postawy będącej konsekwencją samego aktu wiary. Zastanowić się chcemy jedynie nad znaczeniem samego czasownika *„wierzyć"*.

Bardzo często się zdarza, że ludzie dyskutują zajadle nad jakimś problemem mimo, że w gruncie rzeczy są tego samego lub bardzo podobnego zdania. Przyczyną nieporozumienia są wówczas same sformułowania sądów, słowa, które każda z dyskutujących stron inaczej rozumie. Często używamy słów, które dawniej znaczyły coś innego, niż obecnie, a my, zamiast zmienić słowo, staramy się zmienić prawdę, którą ono opisuje (zawiera). Skrajnym przykładem może być słowo „czerstwy" do dziś używane w starym znaczeniu, jak w przykładzie „czerstwy staruszek", ale i w nieco nowszym — „czerstwe pieczywo". A jak jest z czasownikiem „wierzyć" i rzeczownikiem „wiara"? Wydaje nam się, że też nie najlepiej. W każdym razie zadając pytanie: „Co to znaczy wierzyć"? dostatecznie dużej liczbie osób, można uzbierać spory zbiór definicji, nieraz skrajnie się od siebie różniących. Wyjdźmy od pewnej starej i bardzo niekorzystnej definicji: *„Wiara jest pewnością rzeczy niewidzialnych"*. Oczywiście dziś nie musimy zawsze wiedzieć tego z czym, bez pomocy wiary, mamy się zapoznać na podstawie doświadczenia (przedmioty bardzo małe, bardzo odległe, ukryte itp.). Może więc wystarczy inaczej sformułować tę definicję, np. *„Wiara jest pewnością rzeczy, których nie możemy sprawdzić"*? Ale przecież wielu rzeczy nie możemy sprawdzić sami, lecz twierdzimy, że je znamy, bo powiedzieli nam o nich wiarogodni ludzie, lub przeczytaliśmy w wiarogodnych książkach. Rzadko się mówi: wierzę, że ta góra ma 2944 m n.p.m. Już częściej w formie przeczącej. A jeśli w formie twierdzącej, to po prostu: „wiem, że ta góra ma...". *Definicja: „Wiara jest pewnością rzeczy, których nikt nigdy nie sprawdził i nie sprawdzi" nie wytrzymuje krytyki, gdyż zawsze istnieje jakieś źródło danej wiadomości.* Ciężar leży więc w wiarygodności źródła. Jeśli przyjąć, że o wszystkim, co człowiek potrafi sam sprawdzić, mówi się w potocznej mowie — „wiem", to słowo „wierzę" będzie miało najczęściej takie zastosowania:

1. wierzę komuś (ojcu, nauczycielowi, autorowi),
2. wierzę czemuś (jego dobrym chęciom, tym książkom),
3. wierzę w kogoś,
4. wierzę w coś.

Przyglądając się, po podstawieniu konkretnych przykładów, powyższym przypadkom, łatwo można zauważyć, że wszystkie one sprowadzają się do pierwszego, z dwoma bodaj wyjątkami — 1. gdy słowo „wierzę" zastępujemy słowem „mam nadzieję", 2. gdy mówimy „wierzę w coś" (nie potrafiąc wyjaśnić dlaczego), opieramy się, jak to się często określa, na intuicji. Pierwszy z tych wyjątków nie interesuje nas z punktu widzenia wiary, jako stosunku człowieka do spraw religii, gdyż w tym przypadku podstawową częścią określenia wiary jest pewność, co nie łączy się w żadnym razie z pojęciem nadziei. Co do intuicji, to przy dzisiejszym stanie wiedzy można jedynie określić jako wysoce prawdopodobne, iż wynika ona ze zbioru naszych doświadczeń, z których nie zdajemy sobie sprawy, a które tkwią jakby w naszej podświadomości. Być może wchodzą tu też w grę odziedziczone, a nieuświadomione sobie doświadczenia przodków. Typowy przykład: Pan X podświadomie nie znosi osób o jasno-blond włosach. Mówi o panu Y: „Tylko raz go widziałem, nawet nie rozmawiałem z nim, a czuję do niego jakąś głęboką niechęć. Intuicja podpowiada mi, że to zły człowiek". Tymczasem bliższe badanie tej sprawy wykazuje, że pan X, gdy był jednorocznym dzieckiem, został dotkliwie skrzywdzony przez człowieka o bujnej jasno-blond czuprynie. Sam oczywiście tego nie pamięta.

Pierwszy przypadek, wierzenie komuś, zawiera w sobie

także wierzenie w coś, w znaczeniu „wierzę w istnienie czegoś", gdyż jeśli nie możemy sprawdzić sami, że to coś istnieje i posiada określone cechy, to nasza pewność wynika z przyjęcia wiedzy lub poglądów osoby wiarogodnej.

A co znaczy ‚wierzę komuś"? Tu już łatwiej o definicję, na którą zgadza się większość dyskutujących. Wierzę komuś, to znaczy, że:

1. mam zaufanie do dobrej woli, dobrych intencji osoby mówiącej, tzn. ufam, że chce mi ona powiedzieć prawdę,

2. mam zaufanie do jej kompetencji, do jej wiedzy w tej dziedzinie, tzn. wiem, że zna prawdę.

Skąd się bierze ta wiedza i zaufanie? Niewątpliwie z doświadczenia. Łatwo to zaobserwować np. na małym dziecku, które najbardziej wierzy temu, kogo rady najczęściej i najskuteczniej może wypróbować.

*Czy wynika z tego, że źródłem wiary jest doświadczenie? Jeśli objąć nazwą „nasze doświadczenie" zarówno doświadczenie przeżyte lub przeprowadzone przez nas samych, jak i wiedzę innych ludzi, którzy nam własne doświadczenia przekazują, to chyba tak.*

Dotyczy to również wiary religijnej. Abraham, którego często przedstawia się jako wzorcowy przykład wiary, również wątpił, gdy po raz pierwszy usłyszał nieprawdopodobną dla siebie obietnicę otrzymania potomka. Potem, pod wpływem spełnienia się tej obietnicy, a więc pod wpływem doświadczenia, wiara jego tak wzrosła, iż zaczął ślepo ufać Bogu i nie cofnął się przed spełnieniem najcięższego nakazu.

Wiedza również ma swoje źródło w doświadczeniu. *Czym się wobec tego różnią między sobą wiedza i wiara? Wydaje nam się, iż podstawowa różnica tkwi w stopniu pewności.* Wiedza na ogół zostawia pewien margines na własne pomyłki. Wiara jest wiedzą o rzeczach pewnych, a więc z konieczności jest ograniczona do wąskiego kręgu problemów. Wierzyć można w pewniki, które stawiamy u podstaw jakiegoś systemu, wierzyć można w miłość matki. Sądzimy, że taki sens ma zdanie „wierzę w Boga".

„13"

## PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

| DATA NABOŻEŃSTWA | PARAFIA EWANGELICKO-REFORMOWANA W WARSZAWIE | PARAFIA EWANGELICKO-AUGSBURSKA ŚW. TRÓJCY |
|---|---|---|
| 25.07.65 VI Niedz. po Trójcy Św. | Nabożeństwo o godz. 11.00 — ks. Jan Niewieczerzał | godz. 10.00 spowiedź godz. 10.30 nabożeństwo z Komunią Św. — ks. Wł. Nast |
| 1.08.65 VII Niedz .po Trójcy Św. | Nabož. z Wieczerzą Pańską o godz. 11.00 — ks. Bogdan Tranda | godz. 10.00 spowiedź godz. 10.30 nabożeństwo z Komunią Św. — ks. R. Trenkler |
| 8.08.65 VIII Niedz. po Trójcy Św. | Nabożeństwo o godz. 11.00 — ks. Bogdan Tranda | godz. 10.00 spowiedź godz. 10.30 nabożeństwo z Komunią Św. — ks. R. Trenkler |
| 15.08.65 IX Niedz. po Trójcy Św. | Nabożeństwo o godz. 11.00 — ks. Bogdan Tranda | godz. 10.00 spowiedź godz. 10.30 nabożeństwo z Komunią Św. — ks. R. Trenkler |
| 22.08.65 X Niedz. po Trójcy Św. | Nabożeństwo o godz. 11.00 — ks. Bogdan Tranda | godz. 10.00 spowiedź godz. 10.30 nabożeństwo z Komunią Św. — ks. R. Trenkler |
| 29.08.65 XI Niedz. po Trójcy Św. | Nabożeństwo o godz. 11.00 — ks. Bogdan Tranda | godz. 10.00 spowiedź godz. 10.30 nabożeństwo z Komunią Św. — ks. R. Trenkler |
| 5.09.65 XII Niedz. po Trójcy Św. | Nabož. z Wieczerzą Pańską o godz. 11.00 — ks. Bogdan Tranda | godz. 10.00 spowiedź godz. 10.30 nabożeństwo z Komunią Św. ks. Wł. Nast |
| 12.09.65 XIII Niedz. po Trójcy Św. | Nabożeństwo o godz. 11.00 — ks. Bogdan Tranda | godz. 10.00 spowiedź godz. 10.30 nabożeństwo z Komunią Św. — ks. R. Trenkler |

**Redakcja przeprasza za opóźnienie niniejszego numeru JEDNOTY, które wynikło z przyczyn technicznych.**

**WYDAWCA: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL, REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Świerczewskiego 76a, tel. 31-23-83. REDAGUJE KOLEGIUM: Redaktor Naczelny — Ks. Jan Niewieczerzał. Z-cy Red. Nacz.: Ks. Ryszard Trenkler, Ks. Bogdan Tranda. PRENUMERATA: rocznie 48 zł, półrocznie 24 zł, kwartalnie 12 zł, numer pojedynczy 4 zł. Konto PKO Warszawa — 153-7-905-005. Do nabycia również we wszystkich placówkach Kościoła**

**Zakł. Graf. RSW „Prasa", W-wa, Smolna 12. Nakł. 2000. Obj. 2 ark. druk. Zam. 1022. E-21.**